

# Mój Kopernik, moja szkoła, moje wszystko

Dyrektorzy i wychowankowie wspominają na 115 lecie

Wywiady, przygotowanie i opracowanie – Krzysztof  
Turowski absolwent

Łódź październik 2021



rysunek Włodzimierz Stelmaszczyk, matura 1965

Drogie Koleżanki i Drodzy koledzy,

*Podjąłem się niełatwego zadania zebrania wspomnień kilkudziesięciu z was. Jak jednak dokonać wyboru, kiedy Wasze życiorysy to materiał na osobne książki? Jak dokonać wyboru, gdy tak wielu wychowanków Kopernika zostało bardzo cenionymi fachowcami w swojej dziedzinie, zrobiło interesujące kariery?*

*Nie miałem wyboru. Zdałem się po trosze na własne rozeznanie, a po trosze na przypadek i odkrycia podpowiedziane przez innych lub znalezione na społecznych forach.*

*Uprzednio prosiliśmy opisać i przysyłać swoje wspomnienia, ale z wyjątkiem stuletniego absolwenta nikt się nie zgłosił. Dlatego też prezentowane memuary i wywiady to poniekąd wybór autorski.*

*Postanowiłem też dodać wspomnienia żyjących dyrektorów naszej szkoły, jako głównych aktorów sukcesów kopernikowców. Zacząłem zaś od archiwalnego nagrania Polskiego Radia w Łodzi, rozmowy z Anną Szerer, wnuczką Edwarda Heiman-Jareckiego założyciela naszej szkoły*

*Proszę nie żywić do mnie żalu, że czyjeś wspomnienia są pomieszczone, a innych nie ma. Każdy wybór byłby niekompletny.*

*Wszystkim, którzy zechcieli porozmawiać i podzielić się swoimi wspomnieniami bardzo, bardzo serdecznie dziękuję. Było to dla mnie niebywałe przeżycie, powrót do przeszłości, a jednocześnie możliwość poznania wspaniałych koleżanek i kolegów. Dziękuję też Stowarzyszeniu Wychowanków I LO im. Mikołaja Kopernika za obdarzenie mnie zaufaniem i zaangażowanie w wydanie tych wspomnień. Dziękuję wszystkim sponsorom, a szczególnie Krzysiovi Jamrozowi za hojne wsparcie.*

*Oddaję Wam, zatem wasze wspomnienia z młodych, pięknych lat spędzonych w Jedyńce. Trzymajmy się razem*

*Krzysztof Turowski*

## Anna Maria Szerer-Laury, wnuczka Edwarda Heiman-Jareckiego wywiad dla Radia Łódź 1994



Anna Laury: Moje panięskie nazwisko było Szerer. Mój ojciec był prawnikiem, autorem wielu książek na tematy prawnicze.

*(Mieczysław Szerer (ur. 19 kwietnia 1884 w Krakowie, zm. 27 października 1981 w Warszawie) – polski prawnik, specjalista z zakresu prawa karnego, socjolog i publicysta. Wieloletni sędzia Sądu Najwyższego. Od 1927 dyrektor departamentu w Ministerstwie Wyznań i Oświecenia Publicznego. W latach 1933–1939 pracował, jako adwokat w Warszawie. W okresie II wojny światowej znalazł się na emigracji w Wielkiej Brytanii. W 1946 był polskim reprezentantem Komisji Narodów Zjednoczonych do Spraw Zbrodni Wojennych. Członek Komisji Kodyfikacyjnej, opracował raport o nadużyciach Głównego Zarządu Informacji WP w procesach politycznych (1951–1952), członek komisji Mazura (1956–57). W 1978 uzyskał doktorat honoris causa Uniwersytetu Warszawskiego.)*

Matka moja była z domu Heiman-Jarecka.

Wojśław Rodacki: W Łodzi gości pani Anna Laury wnuczka Edwarda Heiman-Jareckiego, która przyjechała do rodzinnego miasta, żeby odwiedzić miejsca szczególnie jej bliskie.

AL: Mieszkam w Londynie, od 1940 roku. Odwiedziłam szkołę, którą założył mój dziadek i ze wzruszeniem wychodziłam stamtąd. Szkoła jest wspaniale utrzymana. Jest w niej dużo tradycji i pamięć o moim dziadku. Odnalazłam tablice głoszące, że jest fundatorem szkoły. Szkoła jest na wspaniałym poziomie, a rezultaty uczniów nadzwyczajne. Na krótko wpadłam do biblioteki, a bibliotekarka, kiedy mnie przedstawiono, powiedziała, że są jeszcze książki z tego pierwszego okresu. Byłam bardzo wzruszona.

Kiedy mój dziadek założył szkołę, to w 1909 została nad drzwiami wmurowana gładka tablica. Dziadek mówił, że na tej tablicy będzie kiedyś polski orzeł. W 1918 roku to zostało zrobione. Niemcy orła zerwali i do dzisiaj go nie ma.

Rozmawiałam o tym z dyrektorem szkoły i mam nadzieję, że da się tę tablicę przywrócić. Ja poniosę wszelkie koszty.

W czasach, które pamiętam, mój dziadek prowadził własne przedsiębiorstwo. Biura były w Łodzi na Piotrkowskiej 125, gdzie dziadek mieszkał a fabryka wyrobów bawełnianych „Wola” znajdowała się w Warszawie. Ja i moi rodzice mieszkaliśmy w Warszawie. Dziadek mniej więcej co dwa tygodnie był u nas w Warszawie, a ja przyjeżdżałam do dziadków do Łodzi z różnych okazji, na święta.

Nie mogę się oderwać od Polski. Mój ojciec wrócił do Polski po wojnie, moja siostra też tu mieszkała, a w Londynie, spotykam łodzian, którzy albo kończyli szkołę, którą założył mój dziadek, albo co najmniej o niej słyszeli

**Marian Wolniewicz, dyrektor szkoły w latach 1966-1991**





Marian Wolniewicz: Byłem dyrektorem w trudnych czasach. Na początku przeżywaliśmy wydarzenia roku 1968, trzynaście lat później stan wojenny, ale udało się przeprowadzić szkołę przez te zakręty historii.

Zawsze uważałem, że uczeń nie musi mieć dobrych, czy bardzo dobrych stopni ze wszystkich przedmiotów, ważne, żeby miał pasję i w czymś się wyróżniał. Uczniów szkół podstawowych, którzy już byli finalistami olimpiad przedmiotowych przyjmowaliśmy do liceum bez egzaminu. Oni później również dla Kopernika zdobywali laury olimpijskie na arenie międzynarodowej. To były wspólne sukcesy i uczniów i nauczycieli. Starałem się, o ile to było możliwe, ściągać i dobrych uczniów i dobrych profesorów. Na przykład panią profesor

matematyki Olgę Stände, której studentem byłem jeszcze w Państwowej Wyższej Szkole Pedagogicznej, a która u nas w liceum wychowała rzeszę olimpijczyków.

Najwięcej ich było z nauk ścisłych. Być może, dlatego że dawniej Kopernik był szkołą męską, a wśród chłopców nauki ścisłe mają większe wzięcie. A potem ta tradycja pozostała kultywowana przez wybitną kadrę matematyków, fizyków, chemików.

Wracając do wspomnianych wydarzeń historycznych, to...

W marcu 1968 roku miała się odbyć na placu Dąbrowskiego przed Teatrem Wielkim manifestacja łódzkich studentów. Oczywiście, władze partyjne postanowiły ją rozpędzić. W tym celu ściągnięto między innymi nas, młodych dyrektorów, nauczycieli, którym próbowano wręczyć milicyjne pałki, ale ja jej nie przyjąłem oświadczając, że jestem od wychowywania młodzieży, a nie od bicia. I wyszedłem. Byłem przekonany, że następnego dnia zwolnią mnie z funkcji dyrektora, a może wyrzucą z pracy. Na szczęście manifestacja się nie odbyła, a o moim proteście zapomniano.

Podobnie ciężko było w stanie wojennym. Między innymi, nasi uczniowie wymalowali antyradzieckie hasła na murach nieopodal szkoły. Komisarz od oświaty zwołał dyrektorów szkół i zarządził, że winnych mamy natychmiast relegować z wilczym biletem.

Znów zaprotestowałem mówiąc, że szkoła ma wychowywać, uczyć, tłumaczyć, a nie natychmiast karać. Obiecywałem, że zajmiemy się nimi w sposób szczególny. Jednakże komisarz był nieustępliwy i domagał się natychmiastowego usunięcia. Na szczęście w obronie wystąpił też jakiś ważny prokurator, który przyznał mi rację i sprawę udało się załagodzić.

Kiedy odchodziłem po 25 latach kierowania Jedyńką byłem bardzo czule żegnany przez koleżanki, kolegów i uczniów.

W naszej szkole zawsze była i jest atmosfera koleżeńskości i więzi międzypokoleniowej. I oby tak pozostało.

**Wiesława Zewald**

## Dyrektor I LO w latach 1991-2000



Wiesława Zewald: Wcześniej, przez cztery lata byłam wicedyrektorem, a jeszcze wcześniej nauczycielem chemii w I LO. Do szkoły ściągnął mnie prof. Karol Król. Wyłowił ludzi, którzy pasjonowali się chemią, szukał nauczyciela, który zechciałby z nim współpracować w kole chemicznym, ze szczególnym uwzględnieniem olimpijczyków. Ponieważ byłam po Technikum Chemicznym, to podzieliliśmy się tak, że on prowadził zajęcia merytoryczne, a ja laboratoryjne. Oczywiście, miałam też moje klasy.

Karol był postacią niezwykłą. Nauczyłam się od niego metodyki pracy na lekcjach chemii, ściągnęłam wystawianie uczniom słynnych kolorowych plusów i minusów za pracę na lekcjach. No i chyba najważniejsze przejęłam wiele aspektów wychowawczych. Miał niebywałe podejście do uczniów. Był prawie ich kumplem, a jednocześnie budził ogromny respekt. M.in. z każdym uczniem witał się przez podanie ręki, zbierał finansowe „kary-datki” na jakiś szlachetny cel, za złapanie na paleniu papierosów w toalecie, słowem człowiek naprawdę



wielki... Pokazał, jak można nie przekraczając pewnych granic cały czas mieć szacunek w oczach uczniów.

KT – Takich nauczycieli było więcej?

WZ – Tak, na przykład Olga Stande. Drobna, szczupła, wysportowana osobka, ale niezwykle stanowcza i budząca respekt. Podobnie jak pani profesor Halina Kamińska.

Pamiętam, jak kiedyś zwróciła mi uwagę, żebym nie chodziła ciągle w spodniach.

- Ty jesteś kobietą, zaznaczaj swoją kobiecość! - radziła

Nie sposób też nie wspomnieć profesora Janusza Boissé, z którym wcześniej też zetknęłam się, gdy razem prowadziliśmy obozy harcerskie nad morzem.

Uczyłam się od Niego „harcerstwa”. Janusz był wspaniały, ale kompletnie nie lubił spraw administracyjnych, papierkowych i musiałam go bardzo pilnować, aby je jednak załatwił. Dla niego cała ta papierologia była mało ważna. Uczeń był ważny, nie dziennik lekcyjny.

KT – Twoi uczniowie, z którymi rozmawiałem, wspominają Cię bardzo ciepło, a jak pani dyrektor wspomina uczniów?

WZ – Kierowanie nimi to było wielkie wyzwanie. Muszę dodać, że wcześniej pracowałam w szkole podstawowej, a następnie w XXVI LO. Tam się znalazłam troszkę z powodów politycznych. Nie zgodzono się, bowiem, żeby dyrektor Wolniewicz zatrudnił mnie w Jedyńce. Obawiano się, że wzmocnię w tym liceum „Solidarność”. Zakładałam ten związek w szkole podstawowej, w której pracowałam. Władze komunistyczne zdecydowały, więc, że XXVI LO wyprostuje mi kręgosłup.

Na szczęście pozwolono mi mieć godziny wykładowe w Koprze, zatem kontakt ze tą szkołą miałam, ale po





dwóch latach dano mi tyle godzin w XXVI LO, że nie byłam w stanie realizować jeszcze dodatkowych w Jedynce.

Jednak, kiedy dyrektor Wolniewicz szukał zastępcy znów otrzymałam propozycję, ale... podstawowe organizacje partyjne obu szkół licealnych musiały na to wyrazić zgodę. Kierujący podstawową organizacją partyjną w Jedynce, profesor Stańczyk zorganizował zebranie i natychmiast wyrażono zgodę, natomiast w XXVI LO zwlekano z decyzją do ostatniego dnia wakacji, ale w ostatniej chwili decyzja była pozytywna.

W rezultacie, miałam porównanie młodzieży z obu liceów. Widziałam zdolną, ambitną młodzież z XXVI, a z drugiej strony też wybitnie zdolną, ale także interesującą się innymi aspektami życia młodzież I LO. Zaimponowały mi ich ambicje, ich dążenie do celu, ich wewnętrzne morale. W tamtym czasie, gdy wiele szkół borykało się z problemem uzależnień ja nie miałam najmniejszych kłopotów z narkotykami, no może z jednym wyjątkiem, ale udało się tę uczennicę razem z Bładym wyprowadzić na prostą ....Była świetną harcerką.

Tak naprawdę mogę śmiało stwierdzić, że to młodzież mnie mobilizowała, a nie ja ją.

Postawiłam sobie, zatem za cel, że z taką młodzieżą ta szkoła musi być znana w całym kraju, a nawet chciałam, by stała się najlepszą w Polsce. No i udało się. Przez trzy kolejne lata byliśmy na pierwszym miejscu w rankingu Unesco i Perspektyw. Był to wielki powód do dumy dla mnie, dla nauczycieli i dla uczniów. Oni na to zasłużyli.



Gdy zakładałam Stowarzyszenie szkół aktywnych, to Kopernik też był wzorem dla innych.

Nie chciałam, żeby to źle zabrzmiało, że w Koperniku była jakaś

wyselekcjonowana młodzież, ale... ale... było dużo wybitnych. Wielu miało po prostu talent w jakiejś dziedzinie.

Tomek Konieczny (dziś światowej sławy bas baryton), dla przykładu, chodził do klasy „Spinozy”, czyli profesora

Stańczyka. W szkole miał taki zwyczaj, że siadał na podłodze na korytarzu i grał na gitarze, często przed pokojem nauczycielskim. Nie wszystkim nauczycielom to się podobało. Tomek zresztą, nie był wybitny we wszystkich przedmiotach, a wielu moich nauczycieli uważało, że każdy powinien być najlepszy, bo inaczej jego przedmiot lekceważy.. Chociaż... powtarzaliśmy ciągle dewizę dyrektora Wolniewicza, że najlepszy jest nie ten uczeń, który ma wysoką średnią ze wszystkich przedmiotów, ale ten, który jest pasjonatem, chociaż w jednej dziedzinie.

Był moment, że czarne chmury zebrały się nad Tomkiem, ale stanęłam za nim murem, bo wiedziałam, że jest bardzo wartościowy, że ma w sobie jakieś

piękno. Pomógł mi w tym znowu Blady... I dziś ja wiem, a Janusz może zdążył jeszcze o tym się dowiedzieć, nim odszedł na zawsze, że Tomek Konieczny, to jedna z naszych wielu perełek, uczniów I LO.

Często też przychodziła do mnie pani Danusia, nasza woźna, którą uczniowie ciepło wspominają i podpowiadała, że ten czy tamta mają problemy, ale wstydzą się powiedzieć i trzeba im koniecznie pomóc. Ona zawsze się za nimi wstawiała. Miała do mnie zaufanie, że Jej nie zdradzę... Pomagaliśmy, bo taka nasza powinność. I jakże wielu uczniów wyszło na ludzi.

Cieszę to bardzo, że wzajemnie sobie pomagają. Otwierają się każde drzwi na hasło – jestem z Kopra. Obojętnie czy to kolega czy nauczyciel. Nie pozostawiają samym sobie tych, którzy pomocy potrzebują. Są wrażliwi i czuli. To dla mnie jest niezwykle. I to właśnie jest to coś, co w moich uczniach dostrzegłam...tę inność.

Kopernik był moją miłością pierwszą, prawdziwą i jedyną.

Wychowywaliśmy i wychowujemy kwiat ziemi łódzkiej, ziemi polskiej, a może i kwiat świata, bo nasi absolwenci są wszędzie...

Jeden przykład, Krzysio Jamroz w młodym wieku był już wicedyrektorem największego banku świata JP Morgan Bank, był prezesem St George Logistycs firmy zajmującej się logistyką.

Wspomniałam tylko dwóch moich uczniów, ale na uwagę zasługuje każdy. Nie znam takiego absolwenta I LO, który by czegoś w życiu nie osiągnął. Oni są wszędzie.

Zdarzyło się, że kiedyś byłam pacjentką szpitala WAM w Łodzi, to okazało się, że tam wówczas pracowało, odbywało staże itp. aż osiemnastu wychowanków Jedyńki.

Niezwykłe!!!

## Jan Kamiński, dyrektor I LO w latach 2000-2010



Jan Kamiński: Nim zostałem dyrektorem byłem nauczycielem geografii w Jedynce i prawdę powiedziawszy chciałem pozostać tylko nauczycielem, ale moja kariera potoczyła się inaczej.

Wcześniej, przez dwadzieścia parę lat pracy na Uniwersytecie Łódzkim nie zarządzałem żadną instytucją, dlatego objęcie stanowiska dyrektora było dla mnie poważnym wyzwaniem. W tym czasie czteroletnie liceum zostało zmienione na trzyletnie, co powodowało poważne zmiany programowe i mniej godzin dla naszych wspaniałych nauczycieli. Starłem się, mimo wszystko, utrzymać szkołę, trochę po staremu, bo stare było bardzo dobre. I chyba się udało.

Wprowadzono też, w tym czasie, profilowanie liceów, a Kopernik miał zostać szkołą o profilu ochrony środowiska. Wychowankowie odczytali te zamiary, że Jedynka może zostać szkołą rolniczą, więc było mnóstwo protestów. Na szczęście ów zamiar upadł. Po drodze pojawiła się nowa matura, czyli kolejne



wyzwanie. W 2002 roku siedemdziesięciu uczniów pisało nową maturę, a reszta starą, ale przeszliśmy ten eksperyment bez potknięć.

W latach 2002 - 2006 szkoła przeszła, pod moim kierownictwem, kapitalny remont bez konieczności wyprowadzania się do innej zastępczej siedziby. Prace remontowe odbywały się podczas wakacji etapowo, ale... w związku z tym przez sześć lat o urlopie w lecie mogłem jedynie pomarzyć.

Powodem do dumy jest dla mnie fakt, że wychowałem laureatów olimpiad geograficznych. Między innymi Kuba Redlicki został w 2006 roku złotym medalistą międzynarodowej olimpiady geograficznej w Brisbane, w Australii. Dostałem od niego na pamiątkę bumerang, który do dziś wisi na honorowym miejscu u mnie w domu. Z dużym sentymentem wspominam też naszego absolwenta, a obecnie nauczyciela fizyki Przemka Dudka, z klasy bardzo zdolnej, ale niepokornej i mającej własne zdanie, jak zresztą większość naszych absolwentów. To właśnie z rąk Przemka, kiedy odchodziłem ze szkoły, dostałem dyscyplinę zrobioną specjalnie dla tysego bacy, czyli dla mnie.

A obecnego dyrektora naszej szkoły uczyłem na studiach i kiedy zrezygnowałem z nauki, to jego właśnie zatrudniłem. Już wtedy przepowiedziałem mu, że kiedyś będzie zarządzał tą szkołą. I tak się stało. Dobrze się stało.

Geografowie, zresztą od wielu, wielu lat odgrywali w Jedyńce pewną rolę. Rola profesora Boissé jest powszechnie znana. Ja też starałem się zainteresować geografią, nie tylko poprzez wędrówki po górach i pobyty w Strużnicy, a obecny dyrektor jest jeszcze bardziej kreatywny i bardzo lubiany przez uczniów.

Bo... dyrektor Kopra nie może być tylko stanowczy i wymagający, ale musi mieć spory dystans i głowę pełną pomysłów.

Za czasów mojej dyrekcji ufundowałem, na przykład, nagrodę „Złoty kamień”, trochę w nawiązaniu do mego nazwiska, którą społeczność szkolna przyznawała uczniowi za postawę kopernikowską. Nie chodziło jedynie o piątki od góry do dołu, ale o postawę godną naśladowania. Ktoś, kto potrafił organizować, przewodzić, wymyślić akcję charytatywną, mieć pasję. I... nagroda funkcjonuje do dzisiaj.

W tej szkole, od dziesiątków lat, nie są najważniejsze bardzo dobre stopnie, ale zainteresowania, współżycie społeczne. Przecież laureaci olimpiad, dzisiejsi wybitni naukowcy nie zawsze byli również najlepsi z polskiego. I odwrotnie.

Chodziło i chodzi o wydobywanie talentów i pomoc w ich rozwoju. Pani profesor Stanisława Hejwowska, pan profesor Karol Król tym sposobem wychowali plejadę wybitnych chemików. Otwierali im swoje domy, swoje biblioteki, swoje laboratoria.

I jednocześnie tworzyła się kopernikowska społeczność. Tu pomożemy, temu pomożemy...

Tę atmosferę życzliwości starałem się wprowadzać, także, kiedy zostałem kuratorem łódzkim, żeby doświadczyć, choć trochę przyjemności z urzędniczej pracy, a przy okazji pomagać Jedyńce, bo Koper pozostał i pozostanie na zawsze w moim sercu.

**Ewa Wojciechowska – dyrektor I LO 2010-2021**



Moje pierwsze spotkanie z ILO miało miejsce w 1972 roku, kiedy to jako uczennica XXVI LO byłam na wspólnym obozie harcerskim w Nasicznem, organizowanym przez druha Janusza Boissé.

Mam też związki rodzinne z Jedyką. Moja mama uczyła się po wojnie w tej szkole, a później starszy syn Krzysztof (matura 1997).

W 1996r pani dyrektor Wiesława Zewald zatrudniła mnie na stanowisku nauczycielki matematyki. Do pracy przystępowałam z wielką treścią i nadziejami. To pierwsze pokonuję cały czas, a to drugie się spełniło.

Z moimi uczniami czuję się mocno związana. Poznałam wielu interesujących młodych ludzi, uzdolnionych w różnych dziedzinach. Podziwiam ich energię i kreatywność. Młodzież z Kopra była i jest wyjątkowa. Uczniowie, to serce szkoły. Od nich tak wiele zależy. Koper to styl życia.

Z Jedyką związałam się na dwadzieścia pięć lat. Bardzo cenne były dla mnie rady

i wskazówki otrzymane od pana wicedyrektora Andrzeja Gralińskiego.

Szczególnie ważne były dla mnie lata współpracy z panem dyrektorem Janem Kamińskim, który powierzył mi funkcję wicedyrektora szkoły. Wtedy to powstawała nowa szkoła, zaczęły się nieustające reformy oświaty, zmieniono formułę matur. Odbył się generalny remont szkoły.

W 2010 roku objęłam stanowisko dyrektora I LO. Podjęłam się zadania trudnego, ale dającego niezwykłą satysfakcję osobistą i zawodową. Szkoła stała się dla mnie drugim domem. Dosłownie, nie w przenośni. Dokonany został remont boiska szkolnego, powstał mural Bladego, wprowadzone zostały dzienniki elektroniczne, szkoła wkroczyła w XXI wiek. Dzięki zaangażowaniu nauczycieli, a ze środków unijnych, pracownie: informatyczna, dwie biologiczne, fizyczna wyposażone zostały w najnowocześniejszy sprzęt. Nowy wygląd zyskała biblioteka szkolna. Wystrój tych pracowni projektował architekt, absolwent szkoły Tomasz Skorupa (matura 1992). Absolwenci szkoły ufundowali wystrój i wyposażenie pracowni geograficznej, również projektu Tomka.

Ostatnie lata postawiły przede mną wielkie wyzwania. Strajk nauczycieli, pandemia koronawirusa. Szkoła nauczyła się pracować i uczyć zdalnie. W opinii uczniów i rodziców zdajemy ten egzamin bardzo dobrze. A przecież, nie ukrywam, że dla mnie i przede wszystkim dla młodzieży to trudny czas. Szkoła bez uczniów, cisza na korytarzach, to smutny widok.

Bezcenną pomoc miałam ze strony pani Małgorzaty Kowalskiej, która przez dwie kadencje towarzyszyła mi, jako wicedyrektor I LO. Dziesiątki spędzonych razem godzin, ciężka praca, radość, czasem łzy, ale przede wszystkim wzajemne zaufanie i przyjaźń. Dziękuję Pani Dyrektor za te wspólne lata.

Moi wychowankowie z klas wychowawczych spotykają się na rocznicach matury i tworzą do dziś zgraną paczkę. Ta szkoła daje więzi na całe życie. Wśród setek uczniów, z którymi byłam w szkole są tacy, których szczególnie się pamięta. Mój pierwszy olimpijczyk Wojtek Kamiński (matura 2000), z klasy wychowawczej Bartek Żbikowski, który przegrał walkę z białaczką (matura 2001), wyjątkowy wolontariusz Staś Roszczyk (matura 2020), pięknie śpiewająca Agnieszka Sarzyńska (matura 2017) czy Magda Łuczak (matura 2020), która jest mistrzynią w narciarstwie alpejskim, pamiętam ambitnych przewodniczących Samorządów Uczniowskich, harcerzy i wielu, wielu... Nie sposób wszystkich wymienić ale są



w moim sercu. Mogę tu zdradzić, że zawsze miałam słabość i szacunek dla uczniów, którzy potrafili godzić sport z nauką, czy muzykę z nauką. Moim oczkiem w głowie był zawsze chór I LO i inicjatywy takie jak Licealny Rok Kulturalny, gdzie młodzież regularnie chodziła do Teatru Wielkiego. Dziś w czasie pandemii szczególnie to doceniam.

Podkreślam także ogromną rolę Stowarzyszenia Wychowanków i prezesów: Joanny Słupeckiej, Janusza Kotlińskiego, Izabeli Niedźwieckiej a także ogromne wsparcie przewodniczących Rad Rodziców.: Sylwestra Pokorskiego, Bogusława Jędrzejczaka, Małgorzaty Krawczyk, Tomasza Wawrzynkiewicza. Serdecznie Państwu dziękuję za wyjątkową współpracę i poświęcenie dla Kopra.

Krzysztof Turowski: Co powoduje, że Kopernik, jeśli nie jest najlepszą szkołą w Polsce, to plasuje się w rankingach w ścisłej czołówce?

Kopernik to wyjątkowa szkoła. Dziesiątki Absolwentów powiedzą Tobie, że jest najlepsza w Polsce i to nie z powodu rankingów. Z powodu atmosfery, jaka tu panuje, tworzonej przez ludzi: młodzież, nauczycieli, pracowników.

Bardzo zdolna młodzież, która nie idzie na skróty, ma różnorodne zainteresowania i chce się uczyć. Z drugiej strony nauczyciele, którzy z pokolenia na pokolenia przyjęli pewien system nauczania. Choćby sztandarowa chemia prof. Karola Króla, prof. Stanisławy Hejwowskiej, absolwentów szkoły prof. Justyny Staluszki i prof. Macieja Sienkiewicza. Sprawdzone metody nauczania, wiele zaangażowania i ciągły rozwój nauczycieli, którzy nie patrzą na wymiar etatu i nie wyznaczają sobie limitu godzin pracy. Poświęcają uczniom ogrom prywatnego czasu. Stają się mentorami i przyjaciółmi dla swoich wychowanków. Cierpliwie „szlifują diamenty”. Nie stoją w miejscu. To dlatego potrafiliśmy „z marszu” nauczać zdalnie i Koper wygrał z pandemią. Mamy mądrą i nowoczesną szkołę dla której tradycja i wizerunek absolwenta są najważniejsze.

KT: „Jestem z Kopra” – brzmi dumnie.

Ranking, którego kryteria zmieniają się co roku jest obecnie tylko jednym, ale nie najistotniejszym elementem oceny pracy szkoły. Śmiało mogę powiedzieć, że JEDYNKA to od 115 lat najlepsza łódzka szkoła.

KT: Kończy się Twój rozdział życia z Koprem i...

Spoglądam na Koprę jak na moje dziecko, które dorosło i teraz musi dalej żyć własnym życiem, Jestem dumna, że miałam zaszczyt być dyrektorem takiej szkoły. Mam mnóstwo energii i pomysłów. Nie rozstaję się z Jedyńką. Tu są moi przyjaciele. Poświęciłam JEDYNCE dokładnie ćwierć wieku.

No cóż, przychodzi taki czas, kiedy tak intensywne życie zawodowe tak trzeba zamknąć. Prywatne życie czas zacząć. Mam rodzinę, ukochane wnuki. Mieszkam poza Łodzią. Ogród, las, psy, koty. Życie toczyć się będzie wolniej. Zrealizuję plany i marzenia, na które nie było dotąd czasu. Oby tylko zdrowie dopisywało.

Oddaję szkołę w dobre ręce. Pan Marcin Chrabelski, jako młody nauczyciel odbywał u mnie swój pierwszy zawodowy staż. Już wtedy widziałam w nim potencjał, zaangażowanie i oddanie szkole. Życzę mu sukcesów dla I LO i radości z wykonywanej pracy. Powodzenia!

Kopernik był, jest i będzie wielki mądrością tworzących go pokoleń.

## WSPOMNIENIA PRZEDSZKOLNE I SZKOLNE

### MIROŚŁAWA SOLECKIEGO – MATURA 1939 - ROCZNIK 1921



Moje wspomnienia jako ucznia Gimnazjum i Liceum imienia Mikołaja Kopernika w Łodzi rozpoczynam od czasów przedszkolnych (freblówki ozorkowskiej i łódzkiego przedszkola). Pojęcie freblówki zawarte w kodeksie profesora F. W.Freblera oznacza ochronkę (opiekę czterozasadową: bezpieczeństwo, lokum, pożywienie, opieka zdrowotna) dla dzieci, których matki ciężko pracowały w dynamicznie rozwijającym się przemyśle niekiedy po 12 godzin na dobę.

Urodzonego w Ozorkowie koło Łodzi, moi rodzice, gdy skończyłem 5 lat, zapisali mnie do freblówki ozorkowskiej. Było nas sześcioro. Wymyślaliśmy zasady i gry z użyciem np. częściowo zgranych piłek tenisowych.

Organizowaliśmy wystawy rysunków, pokazy tańców, a po trzech latach przeszedłem do łódzkiego przedszkola, gdzie przygotowywano nas do zdania egzaminu wstępnego do 8-klasowego ogólnokształcącego męskiego gimnazjum

im. M. Kopernika w Łodzi. Pięć lat pobytu w placówkach przedszkolnych uważam za najprzyjemniejszy okres moich lat dziecięcych.

We wrześniu 1931 roku, mając prawie dziesięć lat ubrany w nowy mundurek z podniesionym kołnierzykiem i naszytą na nim jedną belką (co oznaczało pierwszą klasę gimnazjum) przekroczyłem próg męskiego Gimnazjum im. M. Kopernika przy ul. Więckowskiego witany przez panią Zofie Malczewską, wybitną nauczycielkę języka francuskiego i nieocenioną opiekunkę pierwszoklasistów, oraz pana Stanisława Maciaka, nauczyciela gimnastyki, który z pierwszakami próbował ćwiczyć koziołki i skoki. Gdy po dwóch latach nauki znalazłem się w klasie trzeciej, okazało się że to jest znów klasa numer jeden. W tym czasie bowiem przeprowadzano zmianę systemu szkolnictwa (1933 rok). Ośmioklasowe gimnazjum Kopernika stało się teraz sześcioletnią szkołą obejmującą 4 klasy gimnazjum i 2 klasy liceum profilowanego. Zgłosiłem mój przydział do liceum humanistycznego mniemając, że Kopernik zachowa swój wieloletni charakter humanistyczny – myliłem się.

W sierpniu 1937 roku (tzn. już po małej maturze) ojciec mój otrzymał pismo od dyrektora Rajmunda Bromirskiego informujące o decyzji kuratorium łódzkiego, wytypowaniu mnie, jako jedyne kandydata z Łodzi, do kontynuowania nauki we Francji, w Nancy, na koszt rządu francuskiego. Zarówno dyrektor Bromirski, ze względu na prestiż, jak i mój ojciec, jako wychowanek wyższej szkoły w Belgii, byli za, moja matka zaś była zdecydowanie przeciw, a ja jeszcze nie byłem na tyle dojrzały, aby podjąć samodzielną decyzję. Pozostało, więc ostatecznie liceum w Łodzi.

Jednocześnie profil liceum został zmieniony na matematyczno-fizyczny z uwagi na zdecydowaną przewagę wykładowców nauk ścisłych. Myślałem, zatem o zmianie szkoły, ale ostatecznie poprosił mnie, a właściwie w końcu „wręcz zmusił” do pozostania w Koprze mój wieloletni przyjaciel, Mietek Trzcinka.

Odrębnym, ale bardzo ważnym przedmiotem było przysposobienie wojskowe, kierowane przez wspomnianego już profesora Stanisława Maciaka pozostającego w randze porucznika. Normalnie ćwiczyliśmy w liceum Kopernika. Jednakże, w roku 1938 przeprowadzono ostre, tzn. z prawdziwą amunicją, ćwiczenia polowe w Rawce Skierniewickiej. Wykazały one dobre, a



nawet bardzo dobre wykształcenie naszej szkolnej kompanii przysposobienia wojskowego. I oto moje dalsze wspomnienia.

## Obrona Warszawy

Już w sierpniu 1939 roku przenieśliśmy się do Warszawy. Mieszkając u rodziny uczęszczałem na kurs przygotowawczy do egzaminu na Politechnikę Warszawską. Miałem wyznaczony już termin egzaminu wstępnego na czwartek, 7 września. Prawie cały sierpień pracowaliśmy przy kopaniu rowów ochronnych. Mój konkretny przydział to był Mokotów. W pierwszych dniach września 1939 roku władze wojskowe wydały polecenie, aby wszyscy mężczyźni zdolni do noszenia broni zaczęli od 5 września opuszczać Warszawę, kierując się do Garwolina, gdzie zdecydowano się zorganizować pierwszy punkt oporu. Z moim kuzynem Leszkiem – maturzystą Liceum im. Stefana Batorego w Warszawie - szybko dotarliśmy do Garwolina, gdzie usłyszeliśmy w radiu głos prezydenta Warszawy, Stefana Starzyńskiego, wzywającego młodych mężczyzn posiadających przeszkolenie wojskowe do natychmiastowego powrotu do stolicy, gdyż postanowiono, że Warszawa będzie się bronić. Zrobiliśmy w tył zwrot i szybko wstąpiliśmy do Ochotniczych Robotniczych Brygad Obrony Warszawy (oddziały tworzone przez PPS). Po kapitulacji Warszawy powołane zostało Polskie Państwo Podziemne, które w swoim pierwszym punkcie ogłosiło, że całkowicie odcina się od antysemityzmu. Podano, że ochotnicze oddziały zostają rozwiązane, mają zniszczyć broń i udać się do swoich domów rodzinnych.

## Harcerstwo

Do Trzeciej Drużyny Harcerskiej im. Romualda Traugutta w Gimnazjum im. M. Kopernika w Łodzi, wstąpiłem już w pierwszej klasie gimnazjum. Drużynowym był Wacław Bak (jednak nie mam pewności co do podanego nazwiska), doświadczony harcerz, dobrze wykształcony instruktor i organizator. Moim zastępowym był Artur Diffenbach, starszy ode mnie o trzy lata, wiedzą ogólną i doświadczeniem harcerskim znacznie mnie przewyższający. Szybko pod jego kierownictwem nauczyłem się nie tylko dobrej jazdy na rowerze, ale zdobyłem też umiejętność naprawiania uszkodzeń rowerowych. Mój zastępowy nauczył mnie gry w szachy, podszkolił w grze w brydża. Na trzech dwutygodniowych zimowiskach w Murzasichlu znacznie podwyższyłem moje umiejętności jazdy na

nartach. Instruktor harcerski z innej drużyny uczył mnie jazdy na łyżwach, korzystając z zamrożonego stawu w Parku Źródlika w Łodzi. W zimie, woźny wylewał na boisku szkolnym lodowisko, na którym powstawał, przy naszym harcerskim wysiłku, prymitywny stadion hokejowy i rozgrywaliśmy mecze między poszczególnymi zastępami.

Największym wydarzeniem naszej drużyny był wyjazd w roku 1935, do Spały, na Międzynarodowy Zlot Harcerzy czyli „Jamboree”. Nasza drużyna otrzymała obszerny namiot wojskowy, a poza tym wojsko dostarczyło nam odpowiednie zaplecze kuchenne do przygotowywania posiłków. Zjazd objął harcerzy z całej Polski, a nawet ze wszystkich krajów europejskich i spoza Europy. Rywalizowaliśmy pomiędzy poszczególnymi regionami, a ogólna ocena naszej drużyny w tym zlocie była bardzo wysoka.

Przypominam sobie też wydarzenie z zimowego obozu harcerskiego. Pewnego dnia zostałem wraz z kolegą wyznaczony, jako tak zwana pomoc kuchenna. W czasie przygotowywania posiłku, kolega doznał ataku padaczki. Nie wiedziałem, co mam robić, jedyna moja styczność z padaczką była taka, że moja sąsiadka w Łodzi chorowała na tę chorobę i podczas ataku jej mąż uderzał ją delikatnie w twarz i po każdym takim uderzeniu głaskał. Przypomniawszy sobie tę scenę, zastosowałem podobny zabieg, który przyniósł nadszpodziewanie dobry efekt. Byłem z siebie bardzo dumny.

Moją przygodę z harcerstwem zakończyłem z chwilą wstąpienia do Armii Krajowej. Początkowo działałem w Związku Walki Zbrojnej. Mianowano mnie tam członkiem, a wkrótce dowódcą drużyny łączności i otrzymałem pierwszy rozkaz. Brzmiał następująco:

*„Rozkazuję Mirosławowi Soleckiemu, świeżo upieczonemu maturzyście Liceum im. M. Kopernika w Łodzi, pomoc przy przygotowywaniu młodszych kolegów do małej matury”.*

Ten rozkaz przesądził o mojej przygodzie z tajnym nauczaniem. Doskonale zaprogramowane i świetnie prowadzone było niekwestionowanym sukcesem.

(Mój) Antysemityzm

Już, jako mały chłopiec czułem się wyraźnym antysemitą. Nie wiem, jakie były przyczyny, że przyjąłem taką postawę. Czy była to czyjaś wypowiedź, wpływ

jakiegoś autorytetu, lektura książki, artykułu, w każdym razie już wtedy zwracałem się do mojej mamy mówiąc: „Mamo, nie kupuj u Żyda”. „Babciu, nie kupuj u Żyda”. Co więcej, polecono mi - ale nie pamiętam kto – pilnowanie dużego sklepu żydowskiego ze słodyczami na rogu ul. Nawrot i Kilińskiego, aby potencjalnych klientów informować, że to jest sklep żydowski i żeby poszukali innego sklepu do zrobienia zakupów. A wręcz paradoksalnie brzmi to, że moja rodzina wszystkie słodkie kupowała właśnie w tym żydowskim sklepie. Gdy mój ojciec dowiedział się od mojej siostry o tym, co robię (że mam wyznaczony taki punkt kontroli), zamknął mnie na cały dzień w pokoju i nie wypuszczał. Byłem obrażony na niego przez kilka dni.

Pierwszym sygnałem, do zmiany było to, że Podziemnie Państwo Polskie, w pierwszym punkcie swojego manifestu informowano, iż organizacja odcina się definitywnie od antysemityzmu.

Drugi punkt ostrzegawczy otrzymałem od mojej kuzynki, która studiowała prawo w Warszawie i w ramach getta ławkowego - solidaryzując się z żydówkami - siadała po tzw. stronie żydowskiej. Pewnego dnia pojawił się młodzieniec, który spytał ją, czy ma zamiar dalej tu siedzieć. Powiedziała, że tak, a on wtedy wyjął agrafkę i mocno ją ukłuł. Nakrzyczała na niego, zagroziła, że złoży skargę do dziekana. On natomiast ostrzegł ją, aby się pilnowała, bo następny raz będzie znacznie bardziej bolesny.

Trzeci sygnał, który zdecydował o moim zerwaniu z antysemityzmem, miał miejsce 11 listopada 1939 roku. Kilka dni wcześniej, my, młodzież polska, umówiliśmy się, że zbierzemy się na ul. Piotrkowskiej i pokażemy Niemcom naszą siłę, nasz patriotyzm. Zebraliśmy się tam i okazało się, że Niemcy wcale nas nie rozganiają, a wręcz kierują nas ul. Piotrkowską w stronę Placu Wolności. Tam nas zatrzymali, zaczęli filmować i pokazali film, jak żydzi wiercą otwory w podstawie pomnika Tadeusza Kościuszki, umieszczają potem materiały wybuchowe, aby wyburzyć pomnik. Po krótkiej przerwie skierowali nas na rynek Bałucki, doszliśmy do niego i z przerażeniem zobaczyliśmy trzech żydów powieszonych na hakach na rynku. Ta scena przesądziła. Zerwałem definitywnie z antysemityzmem. Do dzisiejszego dnia jestem w posiadaniu autentycznych zdjęć z tamtego wydarzenia. Zrobił je mój kolega i ofiarował mi kliszę.

Pedagodzy szczególnie przeze mnie doceniani i lubiani

Moim wychowawcą w pierwszej klasie gimnazjum był ks. Bronisław Butkiewicz. Nie był księdzem głoszącym, z wielkim patosem i wszędzie, gdzie się dało, jedynie słusznych prawd wiary. W moim przekonaniu był typem historyka, badacza, a chwilami nawet gawędziarza. Był ciekaw opinii, przygód i zdarzeń, jakie miały miejsce w pierwszych latach po narodzeniu Chrystusa. Pytał nas, jakie jest nasze zdanie o stosunkach, jakie nawiązywał Chrystus ze spotykanymi ludźmi. My też zadawaliśmy mu wiele pytań. Bardzo często nie znał na nie odpowiedzi, ale wcale go to nie martwiło, bo mówił, że będzie miał bodziec do dalszych, bardziej dociekliwych, badań. Interesowały go pierwsze lata chrześcijan – taka była jego pasja.

Gdy dowiedzieliśmy się, że jest również katechetą w żeńskiej szkole, nawiązała się natychmiastowa korespondencja i liściki ukryte w fałdach księżowskiego kapelusza kursowały bez przeszkód między szkołami.

Aresztowany przez Niemców, został osadzony w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie poddawany był strasznym męczarniom. Niezależne źródła podają, że został zagazowany w obozie TA Hartheim w Austrii, w maju 1942 roku.

Wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, dlaczego łacina budzi taki „strach.”?. Słowa, wyrażenia, a także gramatyka łacińska są przecież obecne w wielu językach świata. Gdy w drugiej klasie gimnazjum potwierdziła się wiadomość, że kończymy z łaciną, nastąpiło wyraźne zadowolenie. Chyba byłem jedynym, który chciał, aby łacina była kontynuowana.

Aby ułatwić sobie odpowiedzi na pytania profesora, który nas uczył, a był nim profesor Kowalczyk, ułożyliśmy specjalny poradnik, zawierający najczęściej spotykane pytania i zapisaliśmy je specjalnym rysikiem na tablicy szkolnej w taki sposób, aby można je było odczytać pod nam znanym kątem spojrzenia. Czy profesor o tym wiedział? Nie wiem. Myślę, że raczej nie. Profesor miał doskonałą pamięć, znał nazwiska wszystkich swoich uczniów, miał wysokie wymagania ale jego oceny były raczej sprawiedliwe. Wieczory spędzał przeważnie w kawiarni na ulicy Piotrkowskiej, a między obecnymi ulicami Nawrot, a Tuwima gromadziły się zastępy młodych ludzi, aby nawiązać nową znajomość. Gdy profesor zauważył jakąś znaną twarz na deptaku, oznaczało to, że już mamy murowanego kandydata do kolejnej odpowiedzi. Profesor zawsze

mówił tak: „Przyjdzie mi tu z książeczką i preparacją”, po czym następowała chwila grobowej ciszy i wreszcie padało rozładowujące napiętą atmosferę nazwisko. Słynne mowy profesora Józefa Kowalczyka w całości po łacinie, na początek i koniec roku szkolnego, zawsze mnie fascynowały, bo uważałem łacinę za naukę, jak ja ją nazywałem „wielce dostojną”.

Trzecią postacią jest pani profesor Zofia Malczewska. Wspaniała pedagog, kobieta wielkiego serca i umysłu. Nieoceniona opiekunka wszystkich pierwszoklasistów, nauczycielka języka francuskiego. Prawdopodobnie jej zawdzięczam wytypowanie mnie, jako kandydata do kontynuowania nauki licealnej w Nancy we Francji. Często mówiła do mnie po imieniu, co było rzadkością w kontaktach między nauczycielem a uczniem.

Mawiała: „Mirku, czemu ty tak wytrzeszczasz te swoje oczy? Czemu są one w bezustannym ruchu?”

Coroczny bukiet kwiatów składany w dniu jej imienin był tylko bardzo małym podziękowaniem z mojej strony za jej wyjątkową pracę.

Kolejnym na mojej liście jest dyrektor Rajmund Bromirski. Zapamiętałem go, jako wielkiego pedagoga. Był fizykiem i logikiem, ale ze względu na zajmowane stanowisko nie prowadził zajęć. Gdy Niemcy wkroczyli do Polski i zajęli tereny, na których on przebywał, wpadł na zupełnie niespodziewany pomysł.

Młódzież masowo starała się dostać do partyzantki. Chcąc temu zapobiec uzyskał od Niemców zezwolenie na otworzenie szkoły zawodowej, szkolącej wykonawców różnych zawodów. Zmuszał młodzież do uczestnictwa w zajęciach. To było coś wspaniałego, uchronił wielu młodych ludzi przed niepotrzebną śmiercią.

Następnym pedagogiem, o którym chciałbym wspomnieć, jest profesor Lucjan Cieślik. Jeszcze przed oficjalnym zakończeniem drugiej wojny światowej zdecydował się na odtwarzanie Gimnazjum i Liceum im. Mikołaja Kopernika. Pomysł był iście szalony, ale rezultaty okazały się fantastyczne. Szkoła miała przerwę w działaniu jedynie w czasie okupacji niemieckiej. Później dyrektor – bo został już dyrektorem szkoły – Lucjan Cieślik rządził niepodzielnie i uruchamiał krok po kroku nowe klasy szkolne. Zapamiętałem jego słynne słowa: „Szkoła Kopernika to cel najważniejszy - moje wykłady matematyczne i fizyczne

na politechnice lub innej uczelni mogą poczekać.” Dziękuję mu z całego serca za ten wielki czyn.

Profesor Cieślik uczył mnie matematyki i fizyki, a po wojnie podał mi pomocną dłoń, gdy szukałem pracy. Skierował mnie do dobrze sytuowanego łódzkiego rzeźnika abym udzielał korepetycji jego synowi. Był wspaniałym wykładowcą zarówno matematyki jak i fizyki. W mojej klasie był bardzo lubiany i szanowany.

Tak zwany „robociarz”, nauczyciel robót ręcznych, profesor Juliusz Frasyniuk. Był typem nauczyciela, który nie tylko zlecał jakieś zadanie, ale uczestniczył czynnie w procesie tworzenia, doradzał. Na jego zajęciach powstawały przeróżne rzeczy. Zlecił, mi na przykład, abym wykonał narty. Sprowadził prawdziwego górala, jako doradcę, bo stworzenie nart nie było proste, a sam nie miał wystarczającej wiedzy na ten temat. Ktoś robił aparat telefoniczny, ktoś inny eleganckie podstawki pod żelazka. Powstała seria kilku, o ile pamiętam, sześciu takich wyszukanych, eleganckich podstawek. Bardzo go szanowałem i lubiłem.

Chce także wspomnieć profesora Antoniego Wippla, znanego i wziętego malarza łódzkiego, a jego specjalnością były pejzaże morskie. Organizował obozy plenerowe dla wybijających się, uzdolnionych artystycznie uczniów. Nazywano go pocieszycielem przegranych talentów malarskich. Wydaje mi się, że to on dopomógł w wypromowaniu, malarza Janusza Włodarskiego.

I wreszcie pozostaje mi też wspomnieć polonistę, profesora Jana Zygmunta Jakubowskiego, który zapisał się w mojej pamięci jako inspirator widowisk teatralnych i muzycznych. Organizował wycieczki do teatrów w Warszawie, na przykład na jakiś epizod, w którym pokazał się Solski. Zapraszał śpiewaczki do nas do szkoły na występy. Pamiętam entuzjastycznie oklaskiwany występ Ewy Bandrowskiej – Turskiej. Ja byłem w szkole etatowym deklamatorem, deklamowałem - jak to się kiedyś mówiło - na akademiach wiersze lub krótkie opowiadania.

W tamtych czasach stosunki między pedagogami a uczniami były bardzo „sztywne”, na ogół rzadko prowadzone były rozmowy, czy dyskusje między uczniem a nauczycielem. Pomiędzy nami panowała przepaść. W gimnazjum i liceum męskim była surowa dyscyplina.



Powyższe nazwiska pedagogów wskazują, że mieliśmy w Gimnazjum i Liceum Kopernika wspaniałych „belfrów”. Kadra nauczycielska wyróżniała się wysokim wykształceniem. Poziom nauki w szkole był bardzo wysoki. Szkoła miała świetną opinię i przez wiele lat zajmowała czołowe miejsce wśród szkół wojewódzkich. Również jeszcze po wojnie, gdy dyrektorem został prof. Lucjan Cieślik. i tak jest do dzisiaj.

Nasza klasa – matura rocznik 1939.

W naszej klasie było dwudziestu jeden uczniów: Ejzner Józef, Budzyński Tadeusz, Broszkiewicz Wojciech, Galewski Jerzy, Grimm Maks, Kołodziejowski Walerian, Millauer Maciej, Krzemiński Ryszard, Bieda Bolesław, Dowgiłło Witold, Stępiński Antoni, Szymański Zygmunt, Sapiński Tadeusz, Pyde Aleksander, Jedynak Zdzisław, Włodarski Janusz, Solecki Mirosław, Fularski Lechośław, Zagórski Mieczysław, Niewinowski Janusz, Paszkowski Zdzisław, Trzcinka Mieczysław.

Klasę maturalną rok 1939 oceniam, jako wyjątkowo zdolną. Bez wahania wymieniałbym dwóch wszechstronnie uzdolnionych uczniów: Zdzisława Jedynaka i Janusza Włodarskiego.

Zdzisław Jedynak (matura numer jeden) wielki społecznik, bardzo aktywny wśród najmłodszych harcerzy, czyli ZUCH-ów. Umiał do nich przemówić, zabawić się z nimi, zaśpiewać, pośmiać się, po prostu był ich idolem, a odwdzięczał się im wielkim przywiązaniem.

Drugi z wszechstronnie uzdolnionych to Janusz Włodarski. Był harcerzem, drużynowym udzielającym się dla młodzieży, a równocześnie wielkim samotnikiem, pracowitym wykonawcą swoich dzieł artystycznych. W czasie okupacji był czynnym konspiratorem. Został w 1941 roku aresztowany przez Niemców a w 1942 roku zamordowany. Był przez osiem lat moim bliskim kolegą, ale nigdy nie związały nas nici większej zażyłości. Nasze dyskusje przeważnie koncentrowały się wokół kulturoznawstwa i kończyły zazwyczaj ugodowo. Każdy z nas miał swoje racje i z tymi racjami wracał do siebie do domu. Pozostawił po sobie około 180 prac wykonanych na kartonie, kilka rzeźb oraz wiele utworów poetyckich (prawdopodobnie około czterdziestu), które cechuje niezwykła wrażliwość oraz oryginalność obrazowania.

We wszystkich moich, jak i moich kolegów wspomnieniach szkolnych, ja figuruję, jako utalentowany recytator. Miałem donośny, wyraźny głos, wyróżniałem się bardzo dobrą pamięcią, znałem mnóstwo wierszy i fragmenty niektórych powieści. Profesor Jan Zygmunt Jakubowski zakupił dla mnie z ramienia szkoły lekcje dykcji w pobliskim Teatrze Żydowskim. Lekcje te znacznie usprawniły moje recytacje, a dodatkowo dopomogły do poprawnego formułowania rozkazów wojskowych. Po lekcjach dykcji wygrałem kilka znaczących międzyszkolnych konkursów recytatorskich. Widać recytacja była mi pisana.

Jak wspomniałem, ksiądz Bronisław Butkiewicz zginął męczeńską śmiercią w obozie w Dachau. Po torturach zmarł wybitnie uzdolniony Janusz Włodarski.

Proszę wszystkich czytających te wspomnienia o uczczenie ich minutą ciszy.

Mirosław Solecki (matura rocznik 1939), 29 stycznia 2021

Dopisując parę słów do wspomnień mojego Taty...

Początki dla mnie, jako uczennicy „Kopra”, były trudne: zostałam wręcz zmuszona przez Ojca do kontynuowania tradycji rodzinnej uczęszczania do „Kopernika” (zarówno Tato, jak wcześniej jego brat Jerzy Solecki (matura rocznik 1937) ukończyli tę szkołę). Prowadzona siłą za rękę przez Tatę, przy mojej wielkiej rozpacz i buncie, niosłam w majowy poranek 1985r. „papiery podaniowe” na Więckowskiego 41. W sekretariacie dyrektora Mariana Wolniewicza, niespodzianie kazano mi szybko wybrać przedmiot do zdawania egzaminu ustnego do liceum (poza oczywistymi pisemnymi egzaminami z języka polskiego i matematyki). Działając pod presją czasu i kolejno wykluczając w głowie: historię, geografię, biologię, itd, padło na... FIZYKĘ. Tak, więc byłam jedyną znaną mi (w historii naszej szkoły) kandydatką, która zdając ustnie (na piątkę) fizykę do klasy ogólnej, wylądowała w klasie o profilu fizycznym, z wyśmienitymi olimpijczykami z matematyki, chemii i fizyki. Przyszło mi za ten szalony pomysł słono zapłacić już w pierwszej klasie podczas całkowania na fizyce u cudownej, acz bardzo wymagającej pani profesor Stefanii Łakomickiej i przy obliczaniu liczby elektronów walencyjnych u niezrównanego profesora Karola Króla. Ja, jako matura rocznik 1990, spędziłam w szkole pięć lat,

początkowo w klasie Ib (fizycznej) z wychowawcą profesorem Andrzejem Gralińskim (nauczyciel wychowania fizycznego), następnie z powodów zdrowotnych nie przechodząc do klasy drugiej – ponownie przerobiłam materiał klasy Ib z rocznikiem matura 1990 (wychowawca profesor Mieczysław Stańczyk, historyk, słynny z „uciskania” ścisłych umysłów na tzw. „galerach”), za drugim razem odnosząc spore sukcesy w rozwiązywaniu (tych samych) zadań z matematyki u wspaniałej pani profesor Olgi Stande, czy recytowaniu zapamiętanych rok wcześniej wierszy z języka rosyjskiego. Potem nieraz dziękowałam Ojcu za jego nieustępliwość w sprawie wyboru szkoły średniej dla mnie.

A dla zabawy zadanie z fizyki

#### ZADANIE Z FIZYKI

Pewien wioślarz pod prąd płynie rzeką Prosną  
i pod mostem gubi (jedno) wiosło.  
Fakt ten stwierdza po godzinie,  
więc zawraca, dalej z prądem płynie  
i dogania zgubę swoją  
tam, gdzie słupki z szóstką stoją.  
To oznacza, ot po prostu,  
kilometrów sześć od mostu.  
Oblicz prędkość nurtu Proсны,  
wiedząc, że nasz wioślarz płynie  
jednakowo z prądem czy pod prąd  
uśmiechnięty i radosny.

*Autor: Mirosław Solecki, zadanie przekazano pani prof. Stefanii Łakomickiej do zrealizowania w klasie 1b (w rok 1986/1987)*



Magdalena Prędka (Solecka) (matura rocznik 1990), 1 lutego 2021

## Stanisław Dyzbardis, twórca Łódzkich Spotkań Baletowych - matura 1958



Za moich czasów, w latach 50-tych ubiegłego wieku szkołą była na wskroś "męską". Od klas najmłodszych po klasy maturalne dziewczęta widywało się tylko, albo na spacerach w parkach i na Piotrkowskiej, albo na zabawach tanecznych w zaprzyjaźnionych żeńskich liceach, VII i X LO na Kościuszki. Tak było aż do roku 1963, kiedy to do klas ósmych "Kopra" zostały przyjęte pierwsze dziewczyny. Inne czasy, inne obyczaje.

Lata pięćdziesiąte ubiegłego wieku to specyficzny czas w dziejach naszego kraju, a tym samym w historii nauczania.

Pamiętam, że na lekcjach historii powszechnej, prowadzonych przez nieodżałowanego prof. Bernarda Pietrowicza, zwanego przez wszystkich Burbonem oraz przez prof. Aleksandrę Sachadyniuk, (która po Wydarzeniach Grudniowych otrzymała uczniowską ksywę Prawda leży po środku), głównym tematem były czasy starożytne. Temat wydawał się bezpieczny, jak i

akceptowany przez tak zwane „czynniki”. Przedmiotu "Nauka o świecie współczesnym" w tamtych latach nie było.

Nie potrafię, po latach, wymienić nauczycieli szczególnie ulubionych. Każdy z nich pozostawił wyraźny ślad w naszym rozwoju intelektualnym. Muszę jednak w tym miejscu wymienić tylko prof. Stanisławę Duszyńską, która rozbudziła we mnie talent polonistyczny oraz prof. Kazimierza Dobrowolskiego, ówczesnego dyrektora Szkoły, który w klasach maturalnych prowadził lekcje z logiki i filozofii. Uczył nas prawidłowego myślenia i właściwego widzenia rzeczywistości.

W latach 50-tych XX wieku «Koper" był potęgą męskiej koszykówki wśród łódzkich liceów, a takie nazwiska; jak Pańka czy Kałas były znane uczniom wszystkich roczników. Autorem tych sportowych sukcesów był prof. Stanisław Subocz, którego kresowe "zaciąganie" i miękka artykulacja wyróżniała z całego grona pedagogicznego. Jego "chaliera" brzmi do dzisiaj sympatycznie w naszych uszach.

Czy kogoś z nauczycieli wyraźnie nie lubiłem? Z perspektywy czasu nie mogę tego powiedzieć. Wtedy nie lubiłem tylko profesora Józefa Jerzewskiego. Była to obopólna, irracjonalna niechęć na linii humanista-matematyk. Może, gdybym bardziej się przykładał do nauki przedmiotów ścisłych, nasze relacje byłyby lepsze. Może...

Wreszcie matura! Wejście w wymarzony przez uczniów świat dorosłości, przed którym przestrzegali nas pedagodzy. Blaski i cienie owej dorosłości będą nam towarzyszyć do końca życia. Wtedy było to dla nas nieistotne!

Potem pięć lat studiów polonistycznych na Uniwersytecie w Łodzi. I fascynacja teatrem operowym, co przełożyło się na wieloletnią pracę w łódzkim Teatrze Wielkim. Traf chciał, że na mojej codziennej trasie dom - liceum był Teatr Nowy, gdzie występował zespół bezdomnej wówczas Opery Łódzkiej. Po drodze oglądałem, więc zdjęcia z przedstawień, nie zdając sobie sprawy, że za kilka lat połączy mnie z niektórymi solistami prawdziwa przyjaźń. Mój "romans" z Teatrem Wielkim trwał niemal całe moje zawodowe życie...

Gdy w styczniu 1967 r. oddawano do użytku nowy gmach Teatru Wielkiego w Łodzi, zespół miejscowej opery cieszył się jak sublokator, który po latach



tułaczki otrzymuje swoje wymarzone M-ileś – wspominał początki siedziby przy pl. Dąbrowskiego



Spotkanie ze znanym aktorem Stanisławem Łapińskim, Stanisław Dyzbardis...

Krzysztof Turowski: Tyle mój przyjaciel Staś, dyrektor i pomysłodawcą Łódzkich Spotkań Baletowych o naszej szkole.

A teraz dyrektor Stanisław Dyzbardis w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” o jego ukochanym Teatrze Wielkim

*Magdalena Sasin: Pracuje Pan tu od początku. Jak więc powstał Teatr Wielki w Łodzi?*

Stanisław Dyzbardis: Trzeba pamiętać, że zespół opery łódzkiej nie powstał wraz z utworzeniem Teatru Wielkiego; już wcześniej, od 1954 r., działała Opera Łódzka. Nie miała stałej siedziby, występowała gościnnie na scenach teatrów Nowego oraz Jaracza. Dlatego budowa nowoczesnego budynku przy pl. Dąbrowskiego budziła tak wiele emocji. "Przeprowadzka" do nowej siedziby rozpoczęła się już kilka lat przed oficjalnym otwarciem teatru. W nowym budynku odbywały się próby chóru i baletu. Przedstawienia dla publiczności to ostatni etap. Jak na owe czasy Teatr Wielki był budynkiem nowoczesnym, budzącym podziw przyjeżdżających tu zagranicznych zespołów.

*- Jak wyglądały przygotowania do otwarcia teatru?*

- Rozpoczęliśmy z rozmachem: zrealizowano cztery premiery popularnych oper: "Halki" Stanisława Moniuszki, "Kniazia Igora" Aleksandra Borodina, "Strasznego dworu" Moniuszki i "Carmen" George'a Bizeta. Wielu solistów brało udział w kilku przedstawieniach, chór i zespół baletowy musiały nauczyć się czterech różnych partii do czterech oper. Uszyto kilkaset strojów.

*- Jak ocenia Pan poziom ówczesnego zespołu opery?*

- Mieliśmy świetny zespół. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że był to najlepszy wówczas zespół operowy w Europie. Dyrektorem naczelnym był Stanisław Piotrowski, dyrektorem artystycznym - Zygmunt Latoszewski. Nowy łódzki teatr wzbudzał duże zainteresowanie, zwłaszcza w stolicy. Wielkim entuzjastą naszej działalności był nieodżałowany Jerzy Waldorff. To właśnie on zainicjował słynne "pociągi muzyczne" - wycieczki melomanów z Warszawy na przedstawienia w Łodzi.

*A czy nowym teatrem interesowali się łodzianie?*

- Tak, zainteresowanie było duże. Dbaliśmy o promocję teatru w mieście. Jednym ze sposobów zdobycia publiczności były karnety premierowe, ważne przez cały rok, które zapewniały właścicielowi zawsze to samo miejsce na widowni. Okazały się dobrym sposobem na przyciągnięcie widzów, przez wiele na każdej premierze można było wypatrzeć te same twarze. Sprzedaż karnetów wznowiliśmy w tym roku.

Innym pomysłem były "Spotkania przy świecach". W każdy poniedziałkowy wieczór w "Kawiarni Teatralnej" artyści teatru spotykali się z publicznością.

*I naprawdę były świece?*

- Tak, były świece na stolikach oraz wspólne rozmowy - niemal talk-show na miarę tamtych czasów. Później te spotkania wzbogaciliśmy o część artystyczną,

często odbywającą się na zasadzie "koncertu życzeń".

*Jak wspomina Pan początki swojej pracy tutaj? Jakie nastroje panowały wtedy wśród artystów?*

- Wielki entuzjizm! Po otwarciu teatru wszyscy cieszyli się tak jak sublokator, który po latach tułaczki dostał wreszcie własne, pięknie urządzone mieszkanie z wygodami.

W zespole panowała rodzinna atmosfera, nie tylko wśród artystów. Ludzie przychodzili do teatru nawet w wolnym czasie, by się po prostu spotkać i побыć ze sobą. Na zakończenie sezonu szliśmy na wspólny obiad do "Spatifu". W tej samej grupie spotykaliśmy się później z okazji rozpoczęcia następnego sezonu. Chodziło się też do kawiarni "Honoratka", gdzie przy słynnym serniku pani Stefanii spotykało się łódzkie środowisko artystyczne - nie tylko muzycy, ale też aktorzy, filmowcy, plastycy. To należy już do historii. Teraz wszyscy się spieszą do swoich domów albo do innej pracy, nie mają czasu na życie towarzyskie. A "Spatif" i "Honoratka" - dwa miejsca ważne dla życia artystycznego Łodzi - już nie istnieją.

*Czy od początku teatr współpracował z zagranicznymi zespołami?*

- Staraliśmy się na różne sposoby wypromować nasz młody teatr. Pod koniec lat 60. narodziły się Łódzkie Spotkania Baletowe. Na pierwszym festiwalu wystąpił m.in. balet Opery Lipskiej, a do dziś odwiedziło Łódź wiele znakomitych zespołów baletowych z różnych stron świata. Inną drogą były zagraniczne tournées, wyjeżdżaliśmy od początku istnienia zespołu. Byliśmy w tylu miejscach, że łatwiej chyba powiedzieć, gdzie nas nie widziano i nie słyszano. Teraz sposobem na promocję teatru są m.in. koncerty z zagranicznymi artystami, które cieszą się dużym zainteresowaniem.

*Czy dziś zainteresowanie muzyką jest wśród łodzian takie samo jak w początkach działalności teatru?*

- W Łodzi ludziom żyje się szczególnie ciężko, trudno więc oczekiwać od nich

wielkiego entuzjazmu. Na szczęście nie przekłada się to na brak zainteresowania sztuką. Wystarczy przypomnieć sobie, jakie tłumy odwiedziły ostatnie Spotkania Baletowe. Ludzie nadal chcą tu przychodzić, są spragnieni dobrej muzyki i dobrych przedstawień operowych.

Autorką wywiadu była Magdalena Sasin. Wywiad ukazał się 18 stycznia 2002 roku

## Lech Brodniewicz, mecenas – matura 1962

Lata spędzone w Koperniku przechowuję w pamięci z dużym sentymentem.

Z ogromną sympatią wspominam profesora Mieczysława Stańczyka, i nie jestem w tej opinii odosobniony. Podobnie jak dyrektora Kazimierza Dobrowolskiego.



Portret dyrektora Kazimierza Dobrowolskiego, autor mi nieznany

Był wybitny, miał wewnętrzne poczucie sprawiedliwości. Prowadził zajęcia z propedeutyki filozofii, czyli elementy etyki i filozofii. Również pani profesor Aleksandra Sachadyniuk, z wyglądu groźna, ale przy bliższym poznaniu okazywało się, że to dusza człowiek. Natomiast naszą wychowawczynią była pani

profesor Jadwiga Pasternak. Umiała wymagać i choć nie wszyscy chcieli jej się podporządkować, to budziła sympatię. Poznałem jej rodzinę. To byli ludzie na wysokim poziomie.

A koledzy, to przede wszystkim mój przyjaciel Wiesiek Duda obdarzony niesamowitym poczuciem humoru. Kiedy wchodziliśmy na zajęcia z wychowania fizycznego, które prowadził pan profesor Stanisław Subocz, Wiesio

odśpiewywał całą pierwszą zwrotkę „Tanga Milonga” i inni koledzy też się włączali, a profesor patrzył na nas z aprobatą. On chyba lubił śpiew, albowiem na początku każdego zajęcia chodziliśmy dookoła sali śpiewając jego frontową piosenkę „Oka”. „Szumi dokoła las...” niosło się po sali.

Pamiętam też Pawła Joczka, który się notorycznie spóźniał i wymyślał coraz to inne bajeczne usprawiedliwienia. Późniejszy rzeźbiarz, wyemigrował do Paryża i tam mieszkał do końca życia. Janusz Tylman, z kolei, późniejszy wykładowca w łódzkiej filmówce wyróżniał się niezwykłą pracowitością i był jednym z najlepszych uczniów.

I wreszcie trzeba wspomnieć harcerstwo. Drużynę prowadził wówczas profesor fizyki, Leszek Maciejczyk. Dzięki niemu uzyskałem prawo jazdy w wieku szesnastu lat. Profesor załatwił łazika z jednostki wojskowej, a środki na jego utrzymanie pochodziły ze sprzedaży zniczy w dniu Wszystkich Świętych.

Po studiach poszedłem na prawo na Uniwersytecie Łódzkim. Zdanie egzaminu na ten wydział, nie było proste. ale przygotowanie, jakie dała mi szkoła okazało się wystarczające. Zdawałem geografii i historię i tu ukłon w stronę pani profesor Pasternak i pana profesora Stańczyka.

Pozycja, wówczas drugiej szkoły licealnej w Polsce, zobowiązywała.

Od mojej matury minęło tak wiele lat, że wspomnienia się mocno zatarty, ale taka kolej rzeczy.



## MAREK ROZNIECKI, doktor urologii – matura 1965



Krzysztof Turowski: Znany polski aktor i po trosze satyryk Andrzej Szczepkowski  
pisał o profesorze Wojciechu Noszczyku, że...

*Każdy z nas byłby nieboszczyk, gdyby nie profesor Noszczyk*

Parafrazując nieco pana Andrzeja gotów byłbym stwierdzić prozą, że  
*O potencję i spraw męskich parę zadba, kto? Roźniecki Marek.*

Z naszej klasy XI c, matura 1965 wyszło kilka znaczących postaci. Sprawdzili się i w biznesie i w medycynie i w palestrze i w sztukach pięknych i w robocie literacko dziennikarskiej. Marek był i jest duszą towarzystwa tej naszej grupy, która co jakiś czas spotyka się na wódeczce i męskich plotach, a poza tym... służy przyjaciółom bezinteresowną poradą lekarską. Klasa była męska, więc jako urolog ma co robić.

Marek Roźniecki: Absolutnie chciałem być lekarzem. Moja starsza siostra już była lekarzem, ale ojciec miał wytwórnię damskich chustek na głowę, Bardzo chciał, żebym przejął rodzinny interes i zdobył stosowne wykształcenie.

Poszedłem, zatem na chemię, ale zupełnie mi to nie leżało i w końcu ojciec się zgodził, żebym dał sobie spokój. Po roku zdałem na medycynę.

Pierwsze trzy lata medycyny teoretycznej nie sprawiało mi wielkiej radości. Anatomię trzeba wkuć. Biochemikiem, ani chemikiem wiedziałem, że nie będę. Bakteriologii musiałem się nauczyć, bo to przydatna wiedza. Anatomia patologiczna już mnie ciekawiła. Mimo, że dotyczy zwłok, to jak powiedział profesor Aleksander Pruszczyński znany anatomopatolog w tej dziedzinie, badamy wyniki leczenia chorych.

Ostatnie lata studiów i bezpośredni kontakt z chorymi interesował mnie bardzo. Uświadomiłem sobie, że nie będę ani internistą, ani dermatologiem, ani broń Boże laryngologiem, albowiem mam zbyt poważny odruch wymiotny.

Tu pozwolę sobie na mini anegdotkę. Adiunktem wówczas na laryngologii był obecny profesor Maciej Gryczyński, którego doskonale znałem z Łódzkiego Klubu Wysokogórskiego (pseudonim "Sprężyna" (Taternik, alpinista, narciarz. profesor laryngologii i audiologii w AM w Łodzi.).

Na jednym z ćwiczeń musieliśmy sobie oglądać tylną ścianę gardła. Jeden drugiego łąpał za język i lusterkiem laryngologicznym obserwował gardło. Byłem w parze z Jurkiem Chmielewskim, kolegą z naszego rocznika maturalnego z klasy łacińskiej.

Uprzedziłem go, że ze mną takie badanie nie przejdzie, bo od razu zwymiotuję. Na to pan adiunkt stwierdził, że ono robi tak, iż nic nie poczuje. Ja uprzedzałem. Wyciągnął mi język przyłożył lusterko i... zdążył tylko krzyknąć... „Siostró nerkę!!!”. Niestety zgodnie z przewidywaniami puściłem pawia.

Zacząłem, więc staż na chirurgii u docenta, a obecnie profesora Konstantego Załogi, a obok była urologia i profesor Karol Stąpor zaproponował mi specjalizację w tej dziedzinie. O niczym więcej nie marzyłem.

W Klinice urologicznej przepracowałem dwadzieścia pięć lat i powiedziałem dość. Wyczerpała się u mnie inwencja do pisania prac naukowych, czy naukowych, jak kto woli. Wygrałem konkurs i zostałem szefem oddziału urologii w szpitalu w Łasku, a po trzech latach, razem z kolegą sprywatyzowaliśmy ten oddział. i przez dwanaście lat tam leczylimy w pełnej współpracy z NFZ. Niestety, władze powiatu oddały szpital pod zarząd prywatnej spółce, a ta postawiła nam takie warunki najmu, że musiałem zrezygnować. Potem byłem jeszcze ordynatorem w państwowym, wojewódzkim szpitalu w Sieradzu. Jednakże z bólem stwierdzam, że państwowa służba zdrowia ma się nijak do prywatnej, ze stratą dla chorych. Na moim oddziale w Łasku zakup sprzętu czy leków był załatwiany jednym telefonem. Tu obowiązują liczne przetargi, pisma z prośbą o... zwykle odrzucane. Biurokracja w rozkwicie, a pacjenci czekają. U mnie w Łasku nie było kolejek, nie było skarg. W państwowych szpitalach i przychodniach kolejki są ogromne.

W sensie naukowym jestem doktorem nauk medycznych, autorem i współautorem 56 prac naukowych opublikowanych po polsku, angielsku i niemiecku. Wygłosiłem 22 referaty na zjazdach krajowych i zagranicznych. Jestem członkiem American Urological Association, European Association of Urology, Societe International d'Urologie

A wracając do naszej szkoły...

Moje życie, od szesnastego roku jest podzielone między naukę, pracę i moją pasję, czyli góry. A zaraził mnie tymi górami nasz profesor od rosyjskiego Włodzimierz Uzdowski. Rozmawialiśmy kilkakrotnie o górach, a w międzyczasie wpadła mi w ręce książka Wawrzyńca Żuławskiego „Tragedie tatrzańskie. Mała książeczka kieszonkowa. Znałem ją na pamięć.

Pewnego razu, mając piętnaście czy szesnaście lat powiedziałem rodzicom, że właściwie to byłoby pięknie zginąć w górach. Ojciec mało nie spadł z krzesła stwierdzając, że jestem kompletny idiota. Dostałem jednak zezwolenie na kurs



skątkowy i od tej pory rok rocznie spędzam trochę czasu w górach; niższych, wysokich, bardzo wysokich. Nawet teraz będąc w słusznym wieku.

A ojcem chrzestnym tej pasji jest profesor Uzdowski.

**Figure 1**

Mało tego. Podczas wakacji między dziesiątą, a jedenastą klasą byliśmy na obozie z

naszym matematykiem, profesorem Kowskim, a następnie pojechałem do Morskiego Oka, gdzie byłem umówiony z profesorem Uzdowskim. Przeszliśmy przez przełęcz pod Chłopkiem, co nie było takie proste. Nagle wyłonił się żołnierz straży granicznej czechosłowackiej. Staraliśmy się zawrócić na polską stronę, ale on nie miał zamiaru nas aresztować, a wręcz przeciwnie chciał nam sprzedać, modne wówczas, koszule non-iron. W międzyczasie rozpętała się burza. Baliśmy się schodzić w deszczu galeryjką do Morskiego Oka, więc poszliśmy do Rybiego Potoku i zeszliśmy do Łysej Polany od strony czechosłowackiej. Tam nas dupnęli. Na szczęście zatrzymali nas Polacy, bo Czesi świętowali przechwycenie transportu spirytusu. Przetrzymali na dobę i puścili.

I tak włączę się po górach. Byłem członkiem i kierownikiem 18 wypraw w góry wysokie w tym Mt. Everest w 1995, K-2 w 1996, Mont Mc.Kinley Denali 1997. Nie ma roku bez wyprawy.

A pozostali profesorowie... Nie czułem, żeby nasza wychowawczyni, profesor Halina Kamińska tłamsiła naszą indywidualność, wręcz przeciwnie. Nasz historyk, profesor Mieczysław Stańczyk pozwalał rozmawiać o wszystkim. Pamiętam, jak pierwszy raz wyczytał moje nazwisko i stwierdził, że z takim nazwiskiem to mam przechlapane. (Nawiązał oczywiście do generała Aleksandra Roźnieckiego, który najpierw dzielnie walczył w legionach, a potem w Królestwie Polskim, od 1816 organizator i komendant Korpusu Żandarmerii. Zajął się działalnością policyjno-szpiegowską, tępił spiski rzeczywiste i metodą prowokacji i korupcji prokurował sztuczne.) Mam nadzieję, że to nie jest mój antenat.

Szkołę wspominam bardzo miło. Nasze męskie grono. Fantastyczne grono profesorskie, fantastyczny dyrektor Kazimierz Dobrowolski, profesorowie od



geografii, pani Pasternak, zwana „Kicią”, nieoceniony profesor Boissé, pani profesor Karpowa z fizyki, potrafiła nas gnębić, ale nie niszczyć.

A i koledzy z klasy... ci, którzy zostali trzymamy się i spotykamy od czasu do czasu. Ponieważ to była męska klasa, więc częściej wy mnie odwiedzacie, niż ja was. Służę wam dokąd mogę.



45 lat po maturze: na dole Janusz Brzezicki, w pierwszym rzędzie od lewej: Tomek Strzelecki, Tadeusz Mroczkowski i Boczkowski, wyżej od lewej: Zbyszek Szałapski, Włodek Stelmaszczyk, Krzysztof Turowski, Jacek Strzelecki, Włodek Frenkel, Marek Roźniecki, Julek Flaiszer i Wojtek Skrzypek.

## **RAFAŁ KASSYK – lekarz, major w stanie spoczynku - matura 1965**

*Choć nie jesteś Filip Clay  
I nie jesteś Doris Day,  
Aleś naszym przecież jest Rafałem  
I choć już za kilka dni  
W mundur karzą wskoczyć Ci  
Nie opuszczasz nas na krok zapałem.  
Trzeba śpiewać no to lu,  
Mimo przeszkód różnych stu  
Kabaretu byłeś wciąż podporą.  
No bo dobrze jest jak jest  
Rafał śpiewa ma ten gest  
Rafał, Rafał, Rafał trzymaj się.*

Krzysztof Turowski: W ten sposób na deskach kabaretu „Kiełbie we łbie” żegnano w 1965 roku maturzystę Rafała Kassyka.

Minęło ponad pięćdziesiąt zanim ponownie spotkałem Rafała w jego mieszkaniu w Wałczu. Niestety major, doktor Rafał Kassyk był na wózku inwalidzkim, ale wspomnienia pozostały żywe...

Rafał Kassyk: Kabaret „Kiełbie we łbie” został zainicjowany przez panią profesor Halinę Kamińską, zwaną przez nas Zuzią, polonistkę a następnie przejął go i dodał energii profesor Janusz Boissé.

Na początku było nas trzech kabareciarzy. Wiktor Wyszywacz, Krzysztof Turowski i ja. Nieco później, kiedy męskie liceum przekształcono w koedukacyjne doszły wybitne koleżanki, Małgosia Hanuszkiewicz, Basia Śreniowska i Kasia Pawłowska.

Kopernik miał wówczas opinię najlepszej szkoły średniej w Łodzi. Do szkoły podstawowej nr 106 chodziłem na rogu Gdańskiej i Andrzeja, ale żeby się dostać do Kopra, trzeba było zdać egzamin. Pamiętam pytanie na tym egzaminie z języka polskiego, który prowadziły panie profesor Halina Kamińska i Stanisława Duszyńska – co to jest przysłówek? Odpowiedziałem prawidłowo i to mnie zbawiło – część mowy, która...itd.



Potem było pierwsze spotkanie z wychowawcą, profesorem Mieczysławem Stańczykiem „Spinozą”, który ku naszemu zdziwieniu kazał nam czytać na głos, po kolei, podręcznik.

Na koniec powiedział: „Teraz wiem z kim rozmawiam.” Jedni bowiem czytali mniej, inni bardziej płynnie. Na szczęście nie sprawdzał czy czytamy ze zrozumieniem.

Jest rzeczą oczywistą, że te czasy wspominam z rozrzewnieniem. Także, dlatego, że dostaliśmy porządne wykształcenie. Na maturze miałem oceny raczej przeciętne, a mimo to dostałem się na studia do uczelni o bardzo wysokim poziomie, gdzie na jedno miejsce było kilkunastu kandydatów, do Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Wprawdzie nie za pierwszym razem, ale po roku dostałem się bez problemu.

Na WAM-ie też był niezły odsiew. Zaczynało nas 320 a skończyło o stu mniej. Z różnych zresztą powodów. Na tę uczelnię poszedłem trochę z sentymentów, a trochę z konieczności. Wychowany na trylogii Sienkiewicza chciałem być kimś walczącym, na co dzień o dobro, ale z drugiej strony warunki materialne w domu rodzinnym nie pozwalały mi na studia cywilne. WAM zapewniała mi wszystko.

Co byśmy nie powiedzieli o tamtych czasach, to jedno pozostaje z całą pewnością. Jeżeli ktoś chciał się uczyć, to mógł.

Po studiach i stażu uzyskałem kartę specjalizacyjną z położnictwa i ginekologii. Nie ma się co dziwić. W szpitalach wojskowych też były oddziały ginekologiczno-położnicze.

Wybrałem ten kierunek ze względów osobistych. Kiedy się urodziłem ważyłem 5200 gramów a podczas moich doświadczeń lekarskich odebrałem tylko jeden raz poród chłopca o wadze 5300 gramów. Mój kolega zapytał, jak go wydobyłem? Odpowiedziałem, że sam wyjechał niemal na rowerze. Pocieszny „mały” grubasek. Wracając do moich narodzin, przyszedłem na świat siłami i drogami natury. Moja mama po moich narodzinach ważyła niespełna 50 kilogramów. Kiedy zdobyłem nieco wiedzy położniczej, wiedziałem ile zagrożeń mogło wyniknąć z takiej niewspółmierności przy porodzie i jak dobrym położnikiem był lekarz prowadzący „mój” poród. Darząc kobiety rodzące

wielkim szacunkiem i z podziwu dla lekarzy biegłych w sztuce położniczej, postanowiłem ,jako lekarz pomagać kobietom w tym najważniejszym wysiłku w ich życiu.

Moja kariera zawodowa była dość barwna. Po rocznym stażu w Szpitalu Wojskowym w Toruniu, zostałem skierowany do jednostki wojskowej w Gdyni, gdzie byłem przez pięć lat lekarzem pułku. Jednocześnie w szpitalu cywilnym w Gdyni Radłowie, na zasadach wolontariatu, odbywałem staż konieczny do uzyskania I stopnia specjalizacji, którą zdobyłem po pomyślnym zdaniu egzaminu. Moim kolejnym przydziałem służbowym był Szpital Wojskowy w Wałczu. Tutaj, jako starszy asystent oddziału, miałem możliwość uzyskania II



stopnia specjalizacji.

Urzeczeni spokojem małego miasteczka oraz pięknym pojezierza wałeckiego postanowiliśmy z rodziną zamieszkać w Wałczu na stałe. W połowie lat 80-tych miałem przyjemność gościć dwukrotnie na zimowisku w Wałczu profesora Janusza Boisse - „Bładego” wraz ze szczepem harcerskim z Kopra.

Od 47 lat jestem żonaty, mam dwóch synów i córkę oraz czworo wnucząt.

Z wojska odszedłem na własną prośbę w 1986 roku, po odwołaniu stanu wojennego, bo dopiero wtedy to było możliwe. Była to moja osobista forma niezgody na to, co działo się w Polsce a czego kulminacją było wprowadzenie stanu wojennego. Uzasadnienie mojej prośby o zwolnienie z wojska zaowocowało pozbawieniem mnie prawa do wojskowej emerytury.

Swoje nowe miejsce pracy odnalazłem w cywilnej służbie zdrowia w Wałczu, następnie przez dziesięć lat w Działdowie na stanowisku ordynatora. Do

Szpitala Wojskowego w Wałczu, jako pracownik cywilny, wróciłem w 2004 roku a od 2013 r zostałem emerytem ZUS.

Zgodnie ze swoimi przekonaniem, jak przystało oficerowi Wojska Polskiego, nigdy nie należałem do żadnej partii politycznej.



od lewej Edek Dobrowolski, Włodek Kołęda i Rafał Kassyk. Przed szkołą 1965 rok

I tak z perspektywy czasu, często wspominam najpiękniejsze szkolne lata. Co by jednak nie powiedzieć ciągle mam przekonanie, że nasza buda, nasza szkoła była wyjątkowa. Nauczyciele mieli po prostu autorytet. Autorytet wypracowany. Wiedza, jaką dysponowali i sposób w jaki ją przekazywali była wręcz porażająca. Szanowali też nasze poglądy, nawet, jeśli odbiegały od przyjętej linii w PRL-u.

Profesor Stańczyk, historyk opowiadał o Związku Walki Zbrojnej, o Armii Krajowej, nawet o Katyniu. Także o wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku w sposób dalece odbiegający od oficjalnej propagandy, o roli Piłsudskiego w tym zwycięstwie. W tamtych czasach był to absolutny wyraz odwagi. Budzili tym nasz szacunek, który pozostał do dziś, mimo, że nie ma ich już z nami.

A my - matura 1965 – z mojej klasy, wszyscy dostaliśmy się na studia. To świadczy o poziomie naszej szkoły o poziomie edukacji naszych profesorów. Nie było przymusu skończenia szkoły. Myśmy chcieli i wykorzystaliśmy szansę, którą nam dano. Ogromną szansę.

Kiedy porównuję edukację wczoraj i dziś, nas młodych i dzisiejszych uczniów, moich wnuków, to odnoszę wrażenie, że patrzyliśmy na świat, na naszą przyszłość w sposób bardziej wyidealizowany.

Kiedy zdawałem maturę, nie myślałem gdzie mam pracować, żeby jak najszybciej zarobić duże pieniądze. Nie było gdzie. A dziś młody człowiek wybierając kierunek studiów przelicza włożony wysiłek na przyszłe szybkie zyski.

Być może to oni są mądrzejsi?

## Włodzimierz Stelmaszczyk – artysta malarz - matura 1965



Po maturze dostałem się do Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Mieściła się wówczas przy Narutowicza, tam gdzie dzisiaj Tramwaje mają swoje biura. To był najpiękniejszy okres w moim życiu. Wydostałem się z pewnego reżimu rodzinnego w świat studencki, w świat mi bliższy. Bowiem w szkole średniej czułem się trochę zagubiony. Nie byłem stąd. Przyjechałem do Kopra z Polanicy gdzie moja mama była szefową sanatorium.

Moi koledzy mieli wokół znajomych, kumpli z podwórka, z trzepaka, a ja byłem absolutnie sam. Nie wychodziłem nawet na podwórko. Wydawało mi się dziwne, że nie wychodzimy gdzieś w góry, na skałki, tylko cały dzień spędza się w jednym miejscu. Zatem to bojkotowałem, ale dużo wówczas czytałem.



Poza tym Łódź była dla mnie miastem ponurym, zimnym. Dopiero po



rozpoczęciu studiów poczułem się wolny i samodzielny.

Wyprowadziłem się od ciotki, u której wcześniej mieszkałem i byłem w gronie kolegów, koleżanek, wybitnych profesorów i sztuki.

Sześć lat spędziłem z hasłem:

kobieta, wino i śpiew, plus trochę sztuki i to był bardzo piękny okres, wierzcie mi. A potem? Potem dostałem propozycję od mojego profesora od malarstwa, Romana Modzelewskiego twórcy słynnego fotela RM 58. Jak sama nazwa wskazuje powstał w 1958 roku, ale dopiero teraz zrobił szaloną, światową karierę.

Asystentura na malarstwie, to był ogromny zaszczyt, to była absolutna nobilitacja. I spędziłem, jako asystent profesora Modzelewskiego, ponad dziesięć lat. Jednak pod koniec czułem się tym zmęczony, zwłaszcza, że właśnie wprowadzono stan wojenny i atmosfera w szkole stała się bardzo ciężka. Nieco wcześniej zająłem się, z moją ówczesną żoną tworzeniem srebrnej biżuterii artystycznej. W efekcie zrezygnowałem z pracy na uczelni, ku wielkiemu zdziwieniu władz. Przez osiemnaście lat dominowała w moim życiu biżuteria, co pozwoliło mi nabyć dom, w którym rozmawiamy. To były broszki powiązane z obrazem, w każdej był mini obraz. Do dzisiaj zdarza mi się, że na wernisażu podchodzi do mnie jakaś pani w moim wieku i chwali moje obrazy, ale z sentymentem wspomina ową biżuterię.

Jednak i na te wyroby przyszedł w końcu kres. Wróciłem do malarstwa, zacząłem wystawiać i ponownie otrzymałem propozycję z uczelni, żeby wrócić

już na samodzielne stanowisko prowadzącego pracownię malarstwa, już w Akademii Sztuk Pięknych.

Piękny okres. Wokół gęsto od młodych, pięknych dziewcząt, przeważnie utalentowanych... I tak pracowałem do emerytury, a potem jeszcze przez pięć lat w Akademii Ekonomiczno-Humanistycznej, gdzie byłem dziekanem wydziału artystycznego.

Wracając, jednak do naszej szkoły...

Łódź to nie było moje marzenie. Więc, po co tu przyjechałem? Otóż moja mama była kierownikiem sanatorium kardiologicznego pod opieką łódzkiej kliniki na Sterlinga. Co miesiąc przyjeżdżali lekarze z Łodzi, nad którymi opiekę sprawował profesor Jerzy Jakubowski. Takie łódzkie sanatorium w Polanicy.

On przekonał moją mamę, że powinna mnie wysłać do liceum do Łodzi. Mieliśmy tu zresztą rodzinę, siostrę mego taty. Zapisała mnie na egzamin do III LO, ale profesor Jakubowski orzekł, że najlepsza jest Jedyńska i nie pytając nikogo o zdanie przeniósł moje papiery do Kopra. Na egzamin wstępny udałem się z moją mamą na przystanek tramwaju nr 13, na skrzyżowaniu ulic Sterlinga i Jaracza. Daremnie staliśmy w oczekiwaniu na tramwaj. Po pewnym czasie zauważyliśmy, że tory kończą się kilkanaście metrów dalej płotem okalającym budowę Teatru Wielkiego. Ot, przygoda prowincjusza w Wielkim Mieście!





To tutaj czekaliśmy z mamą na tramwaj w drodze na egzamin do Kopra...

Dość sympatycznie odniosła się do mnie na egzaminie profesor Kamińska, ale szczegółów nie pamiętam. Kopernik z początku był dla mnie stresujący. Ponure gmaszysko, wysokie klasy, ciasne, drewniane ławki, profesorowie, którzy wydali mi się sadystycznie wymagający. Pamiętam kilku matematyków, których mieliśmy i których się bałem. Bałem się pani profesor od chemii, a szczególnie pani Karpowej od fizyki. Ciężko również miałem u naszego rusycysty, profesora Włodzimierza Uzdowskiego. Kiedyś rzucił we mnie zeszytem, a ja odważyłem się zwrócić mu uwagę, że to bardzo nieelegancki gest i oczywiście musiałem odpowiadać przed tablicą. Efektem była dwójka za dwójką. Zwłaszcza z Oniegina. On miał zwyczaj zadawać pytanie – Gdzie urodził się Oniegin i wszyscy zgodnie z treścią wiersza odpowiadali: Oniegin radiłsia na bieregach Niewy. Na katorom, na liewom ili na prawom? – padało kolejne pytanie.

Ale byli gorsi, na przykład wykładowca przysposobienia wojskowego, ksywa Antałek, który przedstawił nam się, że jest byłym pracownikiem Urzędu Bezpieczeństwa. Wprowadził zwyczaj, że kiedy wchodził na lekcję, to wszyscy musieli wstać, a przewodniczący klasy meldował: obywatelu profesorze melduję klasę gotową do zajęć, tylu i tylu obecnych... nieobecnych... Takie wojskowe metody.

Kiedyś w ten sam sposób zameldowaliśmy Uzdowskiemu: Kamandasmirno...  
gaspadaprofiesor... Meldunek na carską modłę.

W szkole musiałem nadrabiać poziom, z jakim przyjechałem z Polanicy, a nie bardzo lubiłem się uczyć, więc stres był tym większy. Jedynie lubiłem język polski. Nawet III część „Dziadów” Mickiewicza lubiłem, co może wydawać się pewnym zboczeniem. Ale... lubiłem polemizować z profesor Kamińską, czasami przyjaźnie, czasami złośliwie. Doszło do tego, że wezwała moją opiekunkę, moją ciotkę do szkoły i pożaliła się, że patrzę na nią wzrokiem bazyliuszka.

Nie miałem też specjalnych warunków do gimnastyki, ale naszego profesora Stanisława Subocza, pamiętam jeszcze z Polanicy, gdzie bywał w sanatorium.

Kiedyś moja mama pożaliła mu się, że jestem taki mały, taki mikry, a na to Subocz odrzekł”

*- Przyjdzie do mnie na koszykówkę, to się wyciągnie.*

I tak czekałem, kiedy to ja się wyciągnę, ale jakoś nie wyszło.

Miałem już potem w szkole moje wąskie grono kolegów. Głównie to Marek Sosnowski, Tomek Grzeszczak, który doszedł do naszej klasy pod koniec, bo nie zdał matury za pierwszym podejściem, Franek Pawlak, Tadek Mroczkowski i Jacek Strzelecki. Tworzyliśmy taką grupę, która się widywała po lekcjach. Jednak, jak wszystkie przyjaźnie skończyły się. Czasem, kiedy się spotykamy nie mamy już tego porozumienia, co dawniej. Jedyny, z którym utrzymuję kontakt, dzięki jego wytrwałości, to Jacek Strzelecki.

Pewnym wydarzeniem w latach nauki było przyście do naszego męskiego liceum uczennic. Z początku otaczaliśmy je pewną pogardą. Żadna z nich nie utkwiała mi w pamięci. Nawet jak przyszła studniówka, to nie miałem z kim na nią iść. Dopiero Zbyszek Szałapski zorganizował mi partnerkę. I to była moja pierwsza dziewczyna. Z Danusią spotkaliśmy się jeszcze przez jakiś czas. Oczywiście czasem się wywyższam, że byłem w męskim liceum, ale to było nieco destrukcyjne.

To także były czasy naszych różnych mniej czy bardziej udanych dowcipów. Oto jeden z nich.

Z Frankiem Pawlakiem wydawaliśmy gazetkę ścienną zatytułowaną „Głos Ludu” organ „Klubu nihilistów”, trochę w kontrze do powagi lekcji z polskiego prowadzonych przez naszą cnotliwą Zuzannę, czyli prof. Kamińską, stąd jej pseudo Zuzia.

Otóż nasza twórczość polegała na tym, że wycinaliśmy tytuły z „Trybuny Ludu” lub „Głosu Robotniczego”, ówczesnych organów Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i dodawaliśmy nasz komentarz. Taki czysty dadaizm z odcieniem politycznym.

Na przykład. Kiedy aresztowano Melchiora Wańkowicza za przekazywanie tekstów do Radia Wolna Europa, to pod krzyczącym tytułem z „Trybuny Ludu” o zdradzie narodowej, to myśmy dopisali piórem, że dla szpiega żądamy kary śmierci. W ten sposób chcieliśmy podkreślić idiotyzm całej sytuacji.

Niestety pani Kamińska przeczytała, zerwała nasze dzieło i tak ta twórczość zakończyła żywot po dwóch numerach. Niestety żaden z nich się nie zachował, a szkoda. Dziś można by spokojnie taką gazetkę wznowić, bo absurdów nadal nie brakuje. Staram się zresztą je komentować w moich satyrycznych „Rysunkach na niedzielę”.

## Krzysztof Turowski - dziennikarz – matura 1965



W 1961 roku dostałem się do I liceum im. Mikołaja Kopernika. Przez lata rosła legenda „Kopra”, który wypuścił z cenzurem maturalnym późniejszych ministrów i mistrzów sportu, sławy lekarskie i znanych aktorów, jednym słowem była to swoista elita.

Kopernikowców można spotkać wszędzie i często można liczyć na szkolną solidarność. Spotykałem kolegów w Paryżu, Wiedniu, Tel-Awivie, Brukseli. Także moja klasa rozsypała się po całym świecie i tylko z niektórymi kolegami widzujemy się, co pięć lat, na zjazdach absolwentów.

Oczywiście „Koper” był męskim gimnazjum. To fakt godny podkreślenia, bo byliśmy z tego niezwykle dumni.

Nas nie zmuszano do noszenia mundurków, ani do śpiewania hymnu na apelach. Mundurki nosiliśmy z dumą

Nikczemnego wzrostu, trzynastoletni jeszcze młodzian, o blond kręconych włosach, wstąpiłem we wrześniu w szacowne mury szkoły, przywitany groźnym spojrzeniem woźnego, pana Skorupy. Przydzielono mnie do klasy pani profesor Haliny Kamińskiej, tak zwanej klasy francuskiej, ponieważ drugim nauczonym językiem obcym, po obowiązkowym rosyjskim był francuski.



Moja klasa IX C, rok 1962. Na pierwszym planie Wojtek Komorek i Zbyszek Szałapski, u góry pierwszy od lewej Władek Frenkiel, ja drugi od prawej obok Zwardonia, za mną, późniejszy poeta Jacek Bierezin

Znalazłem się w otoczeniu dwudziestu czterech kolegów i szacownego grona profesorskiego, z którego każdy nauczyciel godzien jest osobnej opowieści.

Dyrektorem Liceum był Kazimierz Dobrowolski, wykładał w klasach maturalnych propedeutykę filozofii. Niezwykłej dobroci pan, bardzo lubiany przez uczniów i szczerze wspominany po śmierci.

Jego zastępczynią była pani Aleksandra Sachadyniuk. Aktywna partyjnie, stwarzała wokół siebie atmosferę strasznie wymagającej i surowej, uczyła historii oraz wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. W gruncie rzeczy była jednak niewiastą sprawiedliwą, o dobrym sercu, o czym świadczą dwie poniżej opisane anegdotki.

Pani Sachadyniuk ubierała się niedbale, zwykle chodziła w jakiejś czarnej sukni. Podczas przerw między lekcjami, nauczyciele mieli dyżury na korytarzach i w trakcie takiej pauzy, świeżo upieczony licealista, podszedł do niej z zapytaniem:

*- Pani woźna, gdzie tu jest kibel?*

Wszystkie spojrzenia skierowały się na nią i na nieszczęśnika, a Sachadyniukowa, jak gdyby nigdy nic, pokazała mu gdzie jest toaleta i spokojnie wyjaśniła, że skoro nikt mu nie przedstawił jeszcze grona pedagogicznego, to ona dokona tego w klasach, na najbliższych lekcjach.

Druga historia dotyczyła mnie osobiście. Na przełomie 10 i 11 klasy wyjechaliśmy na obóz Ochotniczych Hufców Pracy. Było to połączenie wakacji i pracy w PGR (Państwowym Gospodarstwie Rolnym). Praca nie była nazbyt ciężka, a na koniec nawet wypłacano parę groszy zapłaty. Byłem na takim obozie rok wcześniej i wszystko było w miarę zorganizowane. Mieliśmy przygotowane spanie i jedzenie, byle jakie, ale jedzenie. W tym roku natomiast było fatalnie. Wylądowaliśmy pod Sianowem (w województwie koszalińskim) i nikt nie był przygotowany na nasz przyjazd. Przerzucano nas kilka razy z miejsca na miejsce, tak, że w końcu z Jackiem Rembielińskim postanowiliśmy, że dajemy dyla i wracamy autostopem do Łodzi.

Oczywiście trzeba wiedzieć, że obozami OHP opiekowała się właśnie pani dyrektor Sachadyniuk. Oczywiście zostawiliśmy kolegom wiadomość, że zwiewamy do domu, tym niemniej spodziewaliśmy się ostrej nagany na początku roku, tym bardziej, że w klasie maturalnej mieliśmy lekcje z panią profesor właśnie z wiedzy o Polsce i świecie współczesnym. Sachadyniukowa weszła do klasy i po rytualnym wyczytaniu listy obecności, przystąpiła do uregulowania zaległości.

*- Dwóch waszych kolegów dopuściło się podczas wakacji daleko idącej niesubordynacji, opuściło samowolnie obóz OHP. Niestety muszę przyznać, że mieli powody do podjęcia takiej decyzji, albowiem obóz był fatalnie zorganizowany. Poinformowałam już stosowne władze o tym fakcie, wskazując, że taka organizacja jest demoralizująca dla młodych ludzi. Krzysztofowi i Jackowi udzielam ustnej nagany. Sprawę uważam za zakończoną.*

Wybąkaliśmy grzeczne „przepraszamy”, ale mieliśmy ochotę ją uściskać. Przy każdej następnej okazji manifestowałem mój szacunek dla pani profesor. Gdy pracowałem już w Polskim Radiu w Łodzi, a pani profesor została odznaczona „Orderem Uśmiechu” (to też dowód jak była lubiana mimo pozornej surowości), popędziłem do starej budy, aby zrobić z nią stosowny wywiad.

Francuskiego uczyła nas pani profesor Joanna Janowska. Uroczą damą, pełną humoru i dobroduszości, traktującą nas trochę z przymrużeniem oka. Udawiała, że jest strasznie wymagająca, ponieważ nie traktujemy języka Moliera z należną atencją.

*- Francuski to nie jest język dla takich nicponiów jak wy. Niedługo będą matury rozdawać na rogu ulicy – krzyczała, ale umiała docenić każdą solidną pracę.*

Sama była znakomitym znawcą języka i wraz z prof. Wacławem Siennickim, autorką podręcznika do nauki francuskiego dla klas licealnych.

Rosyjskiego zaś nauczał pan profesor Włodzimierz Uzdowski (nazwisko jak z „Końskiego nazwiska” Czechowa). Starszy pan o falujących siwych włosach. Bardzo dobry, wymagający, ale sprawiedliwy pedagog. W momencie, gdy wchodził do klasy musieliśmy obowiązkowo wstać i stać wyprostowani z rękoma przy spodniach. Wymagał bowiem, żeby „ruki były pa szwam”. Wymagał też dobrej znajomości przerobionego tematu i nie dał się zbyć byle odpowiedzią.

Bardzo lubianym przez nas profesorem był także Mieczysław Stańczyk, młody wykładowca historii, ale jaki profesor. Historia to był wówczas przedmiot, powiedzmy, bardzo śliski. Były wydarzenia, które były zakazane i były wydarzenia nakazane. Profesor Stańczyk nie przestrzegał tych reguł. Kiedy wyładał historię współczesną, bez żenady opowiadał nam o ZWZ i AK, dawał do zrozumienia, co się stało w Katyniu, nauczał prawdy o armii Andersa. Gdy potem porównywałem moją znajomość historii ze znajomością kolegów z innych szkół, stwierdzałem, że nic nie wiedzieli o polskim ruchu oporu poza działalnością Armii Ludowej czy Gwardii Ludowej, formacji z czasów II wojny światowej propagowanych przez obowiązującą władzę.



Profesor Stańczyk potrafił być też mściwy. Mimo, że lubiłem historię, zawsze na okres miałem tylko silną trójkę, ale kiedyś wykułem się solidnie i „Spinoza” (tak go przezywaliśmy) musiał mi postawić czwórkę.



Trudne odpowiedzi przy tablicy w XI C. 1965

Doszedł jednak do wniosku, że to był wypadek przy pracy i na początku następnego kwartału natychmiast mnie wyrwał do odpowiedzi, kompletnie nieprzygotowanego i z satysfakcją udowadniał, że czwórka mi się nie należała. Ale poza tym był super. Lubił się z nami spotykać po lekcjach, jeździć na wycieczki, a i po latach, gdy spotykaliśmy się na jubileuszowych zjazdach, wyczuwało się w nim przyjaciela. Szkoda, że zmarł stosunkowo młodo. Mógł jeszcze wiele nauczyć następnych urwisów, następne „nędze litmanowskie”, jak lubił nas nazywać.

Wybitnym specjalistą od wycieczek i obozów był pan profesor Janusz Boissé, nauczyciel geografii i opiekun szkolnego harcerstwa. Takiego, urodzonego pedagoga, takiego miłośnika młodzieży, tak dla niej i z nią aktywnego, ze

świecą szukać. Każdy absolwent „Kopra” od 1963 roku może zapomnieć swoich kolegów, ale na pewno będzie pamiętał profesora Boissé. Skończyłem już liceum, a jeszcze pojechałem z nim na obóz wędrowny.



Wycieczka koła geograficznego w Beskid Żywiecki i Śląski, Malinowa Skała, 9.09.1965 (już po maturze). Stoję drugi od lewej, czwarty od lewej prof. Janusz Boissé

Do matematyki nie miałem szczęścia. Nauczyciele zmieniali się niemal co roku. W pamięci został mi tylko profesor Kowski, który zabawnie tłumaczył pochodzenie swego

nazwiska.

Otóż podobno jego pradziad nazywał się Pankowski. Po powstaniu styczniowym został zesłany na Sybir i przesłuchujący go żandarm rosyjski pytał:

- *Kak twaja familia?*
- *Pankowski.*
- *Kakoj z tebia pan, piszi jemu Kowski.*

Pankowski czy Kowski, ale dzięki niemu polubiłem matematykę i osiągnąłem dobry wynik na maturze.

Nie sposób tu nie wspomnieć ulubionego naszego profesora wychowania fizycznego, Stanisława Subocza. Stary wiarus, kochał swoich nygusów. Każda lekcja w-f zaczynała się od marszu wkoło sali. Marsz musiał być niemal wojskowy. Każde uchybienie było kwitowane uwagą:

- *No, chaliera, Kazik, jak leziesz, jak na odpust do Skoszew.*

Subocz śmiesznie zaciągał na wschodnią modłę.

Ulubioną grą zespołową, wszystkich profesorów w-f była koszykówka. „Koper” dzierżył palmę pierwszeństwa w rozgrywkach międzyszkolnych. Kto był dobry w kosza, ten miał łatwą naukę w szkole. Subocz zawsze go wybronił.



Byłem w 10 klasie, kiedy pan profesor nagle zmarł. Cała szkoła była na jego pogrzebie, a ja jeszcze długie lata później odwiedzałem jego grób. Kochany, dobry Subocz.

prof. Halina Kamińska rok 1962

No i na koniec wspomnień została moja wychowawczyni, pani profesor Halina Kamińska. Była młodą nauczycielką, dość przystojną kobietą. Była „starą panną” i mieszkała ze swoją matką. Może dlatego była trochę zgryźliwa w stosunku do grupy

dorastających mężczyzn. Lubiliśmy ją i czasami nienawidziliśmy zarazem. W sumie pozostały raczej te miłe wspomnienia i stare uczniowskie przywiązanie.

Na jej pogrzebie 12 listopada 2016 roku żegnałem ją w imieniu kolegów mówiąc:

*Po raz ostatni stajemy przed Tobą, wezwani do tablicy, ale my nie wiemy co powiedzieć, tego tematu nie przerabialiśmy na lekcji. Nie uprzedzono nas. Cóż wypada nam czynić w takiej sytuacji? Możemy tylko powiedzieć Ci przepraszamy i dziękujemy. Jeśli dzisiaj, kiedy język polski przeżywa trudne chwile i co i raz jest niszczone lub kaleczone, a my mówimy poprawnie po polsku, jeśli stawiamy należycie przecinki, jeśli wiemy, że czasowniki z by pisze się razem, to właśnie Twoja zasługa.*

Pani profesor rozwijała też w nas miłość do teatru. Nie tylko bywaliśmy w teatrze, ale i pod jej czujnym okiem prezentowaliśmy fragmenty sztuk na szkolnej scenie. Pamiętam choćby "Uciekła mi przepióreczka" Stefana Żeromskiego.

Sądzę, że żadne słowa nie oddadzą ani jej trudu, żeby nas odpowiednio wykształcić, ani naszego szacunku dla niej.

Była po prostu bardzo dobrym, urodzonym, nauczycielem i pedagogiem, jakich w naszej starej budzie nie brakowało i nie brakuje.

Jeden z kolegów powiedział mi później. - Żegnając Ją pożegnałeś wszystkich naszych profesorów i pożegnałeś naszą młodość. Tak, to była i jest szkoła ze wspaniałym gronem pedagogicznym. Niektórzy wykładowcy przeszli niemal do legendy, jak znany malarz, nauczyciel rysunku Antoni Wipel. To dzięki nim właśnie „Koper” znajdował się zawsze w ścisłej czołówce liceów w Polsce.

\* \* \*

Moja klasa to była zbieranina różnych indywidualności. Dominowali jednak młodzieńcy o zainteresowaniach matematyczno-fizycznych. Stąd większość moich kolegów wylądowała na Politechnice Łódzkiej lub na Akademii Medycznej. Na kierunkach humanistycznych znalazło się nas chyba tylko dwóch, a może trzech ja i dobrze zapowiadający się poeta Jacek Bierezin. Jacek był od dziecka dziwny, szalenie wybuchowy. Spotkaliśmy się po latach w

Paryżu, gdzie próbował tworzyć swoje wiersze. Niestety zmarł przedwcześnie. Wiersze pisał już w liceum i nawet mi się podobały.

Najbliższymi moi kolegami byli Jacek Rembieliński, Rysiek Tabaka (oba z tej samej ulicy) i Władek Frenkiel. Rysiek wyjechał do Australii, a Władek wyemigrował z całą rodziną w 1968 roku na fali pomarcowych wysiedleń. Wyjechał wtedy też Marek Janowski, Julek Flaischer z równoległej klasy osiadł w Danii. W Brukseli spotykałem często Rafała Czeruckiego z tej samej, co Julek klasy.

„Co się stało z naszą klasą, pyta Adam w Tel-Awivie...” – śpiewał Jacek Kaczmarski. Ano, co się stało? Gdzie żyje Walek Iwańcz, gdzie Kaziu Doktor, gdzie inni? Do tego można doliczyć jeszcze Krzyśka Galasa, dziś prawnika z Bolesławca. Krzyś był z nami przez dwa lata, ale potem oblał i kończył rok później. Bardzo się przyjaźniliśmy i razem organizowaliśmy prywatki. Miał wtedy śliczną dziewczynę Anię Weingarten, której mu szczerze zazdrościłem. Sam próbowałem też coś podrywać, ale byłem bez stałego przydziału.



Moja klasa maturalna. Stoję w pierwszym rzędzie, trzeci od prawej. Siedzi grono profesorskie: Od lewej: profesorowie Kowski, Uzdowski, Bossie, Sachadyniuk, dyr. Dobrowolski, Kamińska, Karpowa, Wolańska i Stańczyk

Jeszcze na początku lat sześćdziesiątych „Koper” był męski i dziewczyny mogły przekroczyć progi szkoły jedynie zaproszone na zabawy. My zaś chodziliśmy na „potańcówki” do żeńskich liceów X i VII w alei Kościuszki.

I wszystko było dobrze, aż tu nagle pod koniec mojej 9-tej klasy gruchnęła wieść, że od nowego roku do „Kopra” będą przyjmowane dziewczyny. W męskich sercach zawrzało z oburzenia. Przywdzialiśmy jak jeden mąż szkolne mundurki z amarantowymi wypustkami i niemal chcieliśmy ogłosić strajk. Nie masz niewiast w naszej szkole... Żadnych kobiet w starej budzie, póki my żyjemy.

Cóż jednak mogliśmy zrobić? Decyzja zapadła w kuratorium oświaty.

Postanowiliśmy, zatem przyjąć śluby kawalerskie, że żadna nowa uczennica nie będzie godna nawet naszego spojrzenia, ale... obietnice nie wytrzymały dłuższej próby czasu. Lody i niektóre serca szybko pękły.

Ten fakt był również kanwą jednej z piosenek w założonym przez nas szkolnym kabarecie „Kiełbie we łbie” o „biednych, małych, zahukanych uczennicach”, które w końcu spowodowały, że to chłopcy stali się zahukani i zakochani. Śpiewaliśmy na melodię „Mukurity”

*Gdy w mury Kopra zawitały uczennice,  
Przed jego tradycjami drżały uczennice,  
Ale ciekawym, jednym oczkiem uczennice  
Zerkały w każdą, napotkaną chłopca twarz  
Uczennice, ciche skromne, gładko uczesane  
Uczennice co się bały w społeczeństwie chłopców żyć (...)  
Nim minął jeden roczek strach swój przełamały,  
Na pierwszym piętrze maturzystów całe roje,  
A już i drugie piętro zaanektowały.  
Na biednych chłopców wszystkie z góry patrzą dziś.  
Biedni chłopcy, zakrzyczani, gładko uczesani,  
Biedni chłopcy, którzy dwóje na tuziny łapią dziś...”*

Tak padła wieloletnia tradycja „Kopra”.

40 lat po maturze odbył się okrągły jubileusz „Kopra” – 100 lat. Kilka twarzy spotykałem ponownie z przyjemnością, tym bardziej, że niektórych nie widziałem egzaminu dojrzałości. Tak, odnalazłem Władka Frenkla, mego starego przyjaciela z maturalnej klasy, którego represje 1968 roku zmusiły do wyjazdu z kraju. Po raz pierwszy po latach spotkałem też Adasia Bartelę. My

trzej i Marek Roźniecki zrobiliśmy sobie po maturze wspólne zdjęcie i teraz mogliśmy zrobić nowe zdjęcie w tym samym składzie. Oto rezultat:



Pozostawiam porównanie tych zdjęć bez komentarza, ale Marek Roźniecki stwierdził:

- *Jeszcze możemy się kobietom podobać. I pozostaniemy w tym przekonaniu!*

Kiedy dziś wiemy już wszystko o biedzie i przemocy z tamtych czasów, kiedy do obowiązku należy narzekać na okropności reżimowej władzy, mając pełną świadomość gdzie i w jakich warunkach żyłem, to mimo wszystko z pamięci potrafię wydobyć głównie te beztroskie chwile, te wspaniałe dni młodzieńcze, te spotkania z wiosną „dozwolone do lat osiemnastu”. To była nasza młodość, nasze piękne dni!

## Małgorzata Hanuszkiewicz – matura 1967

### Modlitwa

Popatrz, jak chodzą korytarzem,  
popatrz, to właśnie są uczniowie.  
Szkolnych zdarzeń sfrustrowani bohaterowie,  
co światopogląd noszą w kieszeni,  
światopogląd, jak lekcje zadany.  
Oceniani i wyceniani,  
na stopnie już poprzeliczani.  
Bohaterowie są zmęczeni.  
Niniejszym składam więc zapotrzebowanie...  
Na trochę wiatru do tej budy, żeby przestała być ohydna,  
Na trochę słońca dla tych ludzi, którym obrzydła już obrzydła,  
bo korytarze są za wąskie, bo już formułki są za ciasne  
na trochę wiatru, trochę słońca, żeby rozszerzyć i rozjaśnić.  
Mówisz, że chodzą obojętni, mówisz, że chodzą roześmiani,  
lecz śmiechem złym, co nie jest znakiem radości  
i snują się napiętnowani  
i naznaczeni nudą szkolną  
nie uśmiechnięci, lecz skrzywieni grymasem złości utajonej,  
bo wszak wybuchnąć jej nie wolno.



To dla nich proszę o słońce, żeby rozszerzyć i rozjaśnić  
te korytarze już za wąskie i te formułki już za ciasne  
O trochę wiatru do tej budy, żeby przestała być ohydna,  
Na trochę ciepła dla tych ludzi, którym obrzydła już obrzydła.  
I dla tych także, co daremnie  
chcą zrobić ludzi z ciebie, ze mnie, systemem złym.  
Dla pedagogów, którzy patrzą,  
jak im się zmienia i rozmienia  
ich wielka misja wychowawcza  
na zebrania, gadania i programy,  
na stopnie i łopatologię, na użeranie się z uczniami.  
I co się bujać, że później to docenią.  
Dlatego proszę o słońce. O trochę słońca do tych murów  
do ciasnych ławek, czarnych tablic,  
do rekwizytów tych, wśród których  
jedni i drudzy tragikomedie swoją grają  
O trochę słońca dla tych ludzi zmęczonych sobą nawzajem

## Katarzyna Pawłowska-Horna, historyk sztuki – matura 1968



Z biegiem lat wspominam szkołę z coraz większym sentymentem.

Byłam tym rocznikiem koedukacyjnym, który był witany przez starszych chłopców oklaskami. Mieliście już za sobą rok praktyki w towarzystwie uczennic. Poprzedni rocznik, w którym były nasze kabaretowe koleżanki Małgosia Hanuszkiewicz i Basia Śreniowska (niestety obie już nie żyją) był witany gwizdami.

Ósme klasy były na pierwszym piętrze, a męskie towarzystwo na wyższych piętrach. Miałyśmy zakaz wchodzenia na wyższe piętra, bo tam się uczyli chłopcy, poważni ludzie. Przygotowywali się do matury, a nie tak jak my, „przyszliśmy do szkoły, żeby mężów szukać”. Oczywiście sami uczniowie nie podzielali powyższej opinii grona nauczycielskiego.

Najlepiej zresztą nasze relacje męsko-damskie oddawała piosenka „Gdy w mury Kopra zawitały uczennice...”, którą cytujesz w swoich wspomnieniach. Śpiewałam ją również, kiedy daliśmy pierwszy program nowo powstałego

kabaretu „Kiełbie we łbie”. Jego pomysłodawczynią była Małgosia Hanuszkiewicz, która się przyjaźniła z Basią Śreniowską i one najpierw stworzyły gazetkę klasową pod tym samym tytułem. Potem powstały zręby kabaretu jeszcze pod skrzydłami pani profesor Kamińskiej, a dość szybko przejął go profesor Janusz Boissé, bo profesor Kamińska opiekowała się kółkiem teatralnym. Nie pamiętam, w jaki sposób dołączyłam do zespołu kabaretu, ale jak już dołączyłam, to zostałam. Pozostały sentymenty do tego stopnia, że podczas kolejnych zjazdów spotykamy się klasami, ale również w grupie kabareciarzy. I z kabaretem wiążą się najlepsze moje wspomnienia. Nie ukrywam, że chodziłam do szkoły głównie w celach towarzyskich. Gdy nie mogłam iść do szkoły, to żałowałam właśnie spotkań, które mi przeszły koło nosa.

A lekcje to były dodatki do przerw. Bywało, więc, że miałam problemy, zwłaszcza z chemią. W ostatniej klasie, profesor Król stwierdził, że mnie nie dopuści do matury. Nie dziwiłam mu się. W rezultacie musiałam przy całej klasie przysiąc panu profesorowi, że nigdy w życiu nie zetknę się z chemią. Zrobiłam w tej materii, co mogłam.

Na studiach z historii sztuki okazało się, że mam zajęcia z konserwacji, w tym z chemii. Chcąc jednak dotrzymać słowa danego Królowi wyjaśniłam asystentowi od chemii, że nie mogę chodzić na jego zajęcia, aby nie złamać danego słowa. On się zgodził, ale musiałam zdać kolokwium. Poszłam na nie z przekonaniem, że obleję, a tu niespodzianka... zdałam na czwórkę. Okazało się, że wiedza, którą z wielkim trudem i bólem wbił mi jednak do głowy profesor Król wystarczyła, aby zdać kolokwium z chemii na historii sztuki! Na kolokwium były zadania, a ja sobie przypominałam jak profesor nam tłumaczył, że „łapki muszą się trzymać”. Każdy pierwiastek miał łapki i jak jest H<sub>2</sub>O, to H się trzyma łapkami z O. Połączyłam, więc w zadaniach jakoś te łapki i się udało!!!

KT – To niemal, jak w kabarecie...

KPH – Tak. Kabaret, który stworzyliśmy przetrwał dziesięciolecia, ale z czasem zrobił się bardziej harcerski, pod wpływem Bładego. Tylko jego było stać, żeby opiekować się kabaretem. On miał wielki luz, a jednocześnie szacunek dla uczniów. Uważał, że uczeń też człowiek. Szanował nasze indywidualności, szanował nasze zdanie, nasze wybory. Czasami się nie zgadzał, trząsał wtedy drzwiami, ale... szanował odmienne opinie.

Moim wychowawcą był profesor Stańczyk. Historii to on mnie nie nauczył, ale jako pedagog był świetny. Był rzeczywiście wychowawcą.

Dwa lata temu z okazji pięćdziesięciolecia matury spotkaliśmy się w kilkanaście osób i mogę śmiało powiedzieć, że nikt z nas w życiu się nie ześwinił. Ludzie starają się trzymać tę markę, jaką jest Kopernik. Cała masa ludzi do czegoś doszła w życiu. Nie chodzi tylko o jakieś wielkie kariery, ale każdy z nas jest kimś, ma zawód, pozycję w swoim środowisku, konkretne przekonania, które potrafi bronić. Bo... w szkole była swoboda myślenia.

Pamiętam naszą wizytę z kabaretem w jednym z czołowych liceów we Włocławku. Mniejsze miasto, ale nie wiocha i tamtejsza młodzież to były szare myszki. Patrzono na nas, jak na dziwaków. A my... myśmy dyskutowali, spierali się z profesorami, wygłupialiśmy się z nimi... i wyrosliśmy na ludzi. I tak nam zostało.

Zdawałam maturę w 1968 roku. To szczególny rok. Po kolejnej wizycie na dworcu, kiedy żegnaliśmy kolejnego kumpla, zmuszonego do opuszczenia szkoły, miasta, przyjaciół i Polski, zapytałam profesora Boissé:

- Jak żyć?

- Po prostu nie bądź świnią - odpowiedział

**Marek Niemierowski, aktor, profesor, wykładowca w Szkole Filmowej w Łodzi – matura 1969**



Marek Niemierowski: Chętnie wspominam czas spędzony w „Koprze”, głównie pewnie dlatego, że byłem wtedy „piękny i młody”. Ale oczywiście, przecież nie tylko. Dziś, z perspektywy lat minionych łatwo dostrzec mi i docenić, jak „ładni ludzie” byli wówczas dookoła. I ci tuż obok, w ławkach, i ci po drugiej stronie, pod tablicą. A wśród nich Stande, Król, Janowska, Boissé, Kamińska, Sachadyniuk... – naprawdę wybitni nauczyciele.

Określenie „ładni ludzie” pozwoliłem sobie zapożyczyć od jednego z krakowskich Profesorów. Uczestniczyłem kiedyś razem z moją młodzieżą w warsztatach teatralnych, organizowanych cyklicznie przez nasze Uczelnie. Tym razem spotkanie miało miejsce w Krakowie. I kiedy moi studenci prezentowali na scenie swoją pracę, siedzący obok mnie na widowni Profesor Krakowskiej Szkoły Teatralnej – Edward Dobrzański, który był potem jednym z recenzentów mojego habilitacyjnego przewodu, poklepał mnie serdecznie po ramieniu mówiąc:

- „ładnych ma pan ludzi”.

To określenie niezwykle przypadło mi do gustu, ponieważ odzwierciedla moim zdaniem te wszystkie pozytywne, szlachetne, wartościowe cechy w człowieku, z którymi chcielibyśmy obcować, na co dzień.

Tak, więc, „ładni ludzie” byli w „Koprze” wczoraj- za naszych czasów, są dzisiaj i będą jutro, a szkoła niezmiennie w rankingach plasować się będzie na pierwszych miejscach.

KT – Z naszej szkoły nie wyszło zbyt wielu aktorów?

MN – Rzeczywiście, bo „Koper” słynął przecież z sukcesów w olimpiadach, i licznych konkursach o charakterze przede wszystkim matematyczno-fizyczno-chemicznym.

Tym niemniej, i profesor Kamińska, która prowadziła przez jakiś czas Koło Teatralne, i Janusz Boissé, który był duszą szkolnego kabaretu „Kiełbie we łbie” sprawili, że możemy dziś wymienić co najmniej kilka nazwisk. Zaczniemy od najmłodszej w tym gronie: Ania Sarna (moja uczennica), Piotr Krukowski, Andrzej Walden (syn aktora, reżysera i pedagoga Jerzego Waldena), nieżyjący już Ryszard Żuromski (matura 1963), Łukasz Pijewski. Razem ze mną na roku była również oprócz mnie dwójka „Kopernikowców”: Małgorzata Skoczylas



(córka znanego łódzkiego aktora i pedagoga Włodzimierza Skoczylasa) oraz zmarły w 2013 roku Maciej Korwin – aktor, reżyser i dyrektor wielu polskich teatrów: w Opolu, Kaliszu, Łodzi, Gdyni.

KT – A kiedy się zrodziły twoje ciągoty teatralne?

MN – Nie ma najmniejszych wątpliwości, że to ojciec mój zainfekował mnie i młodszego brata teatralnym wirusem. Sam, z powodzeniem występował przed wojną w Operetce, jednak, kiedy po powrocie z obozu jenieckiego zorientował się, że nie bardzo może już śpiewać ze względu na kiepski stan zdrowia, definitywnie porzucił myśl o uprawianiu aktorskiego zawodu. Ale przecież miłość do teatru została i dość wyraziście manifestowała się w naszej rodzinie. Wizyty w teatrze, kinie, filharmonii, na wernisażach stały się niemal obowiązkiem, a liczne, amatorskie zespoły teatralne ( w łódzkim MDK-u, ŁDK-u , czy wreszcie w „Teatrze Stu Krzeseł” Pani Krystyny Hencz ) moim drugim domem.

KT – A wracając do szkolnych profesorów?

MN – Z pewnością pierwsza osoba, która na myśl przychodzi, to „Błady”, czyli profesor Janusz Boissé. Z Nim przyjaźń była stosunkowo „łatwa”, ponieważ był wspaniałym człowiekiem, który Ignął do ludzi, wszystkich kochał i chciał, żeby jego też wszyscy kochali. Przez lata spędzone w szkole przyjaźń ta utrzymywała się i w kabarecie „Kiełbie we łbie”, i w kole geograficznym, i na licznych wycieczkach, wędrownych obozach, i na sali gimnastycznej, gdzie często po lekcjach grywaliśmy z Bładym w siatkówkę. Po maturze nie straciliśmy ze sobą kontaktu. Jako że mieszkalem bardzo blisko Jego domu, wciąż wpadaliśmy na siebie albo na ulicy, albo podczas zakupów na rynku przy ul. Zielonej. Czasem organizowaliśmy też wieczory brydżowe.

A poza Bładym? Zdecydowanie najbliższy kontakt miałem z Panią profesor Joanną Janowską. Ze wzruszeniem myślę o Niej zawsze, jako o osobie niezwykle ciepłej, serdecznej, życzliwej, a jednocześnie bardzo surowej i wymagającej. Dzięki Niej polubiłem język francuski do tego stopnia (trochę pod Jej naciskiem, trochę z własnej, nieprzymuszonej woli), że gramatykę francuską zgłębiłem w znacznie większym stopniu, niż polską. Długo jeszcze po maturze telefonowałem, gdy chciałem pochwalić się jakimś swoim sukcesem, a 24-go maja, (imieniny Joanny) rokrocznie meldowałem się z kwiatkiem przed



drzwiami Jej mieszkania. I rokrocznie mąż Pani Janowskiej witał mnie w progu słowami:

- „Ależ proszę pana, po co kwiaty, przecież pan już nie jest uczniem”.

Podobnie serdecznie wspominam Panią profesor Halinę Kamińską. Należała do tych nauczycieli, którzy z determinacją i pasją starali się rozwijać w nas samodzielne myślenie, którzy ośmielali nas, zachęcali, namawiali, aby zawsze w sposób twórczy, nietuzinkowy podchodzić do każdego, najdrobniejszego nawet zadania.

KT – Czy dziś jako wykładowca stosujesz metody zaczerpnięte od pedagogów naszej szkoły?

MN – Wzorów do naśladowania znalazłoby się dużo. Miałem nawet w swojej rodzinie genialnego pedagoga, stryja, Sławomira Niemierowskiego, wybitnego matematyka. Gdy w jedenastej klasie Pani profesor Olga Stande została naszą nauczycielką matematyki, w oka mgnieniu zorientowała się, że moja wiedza w Jej przedmiocie jest zgoła zerowa. Zgodziła się dopuścić mnie do matury dopiero wówczas, kiedy przyrzekłem Jej solennie, że nadrobię zaległości pod czujnym okiem mojego stryja. A stało się to możliwe wyłącznie dzięki Jego wielkiemu pedagogicznemu talentowi.

Jednak szkolnictwo artystyczne wymaga całkiem innego rodzaju myślenia o nauczaniu. Tu trzeba pamiętać, że indywidualne predyspozycje studenta stanowią w procesie kształcenia fundamentalne ogniwo. To zawsze jest bardzo intymny proces. W semestrze pracujemy na ogół z zaledwie dziesiątką studentów. Realizując wspólny plan musimy umieć dotrzeć do każdego z nich z osobna, często skrajnie różnymi metodami. Dbając o rozwój ich osobowości, musimy umieć dopilnować, aby był to zawsze proces otwarty. Proces wspierający trud równoległego kształcenia i „instrumentu”, i twórcy.

Miałem niezwykle szczęście, że spotkałem na swej drodze ludzi, dla których nauczanie stanowiło jedną z najważniejszych życiowych pasji, i którzy zechcieli odsłonić przede mną część swoich pedagogicznych tajemnic.

Fakt, iż mogłem terminować, u najwybitniejszych pedagogów naszego Wydziału w owym czasie (Hanna Małkowska, Zofia Petri, Michał Pawlicki, a zwłaszcza Waldemar Wilhelm, mój mentor, mistrz i przyjaciel pozwolił mi zgromadzić

wiedzę i doświadczenia, z których korzystam do dzisiaj. Korzystam starając się pozostać wiernym zasadzie, iż własne, oryginalne przekonanie, wolne od cudzych sugestii, zawierające sąd o świecie i sobie samym, pozwoli zawsze ten sąd wyartykułować przy pomocy różnorodności form wypowiedzi artystycznej.

Wspominając dziś naszych szkolnych pedagogów hołd im składamy za ich trud w kształtowaniu naszych postaw i charakterów, za wysiłek w zapewnieniu nam edukacji na możliwie najwyższym poziomie i wreszcie za to, że umieli stworzyć miejsce, o którym myśleliśmy ze wzruszeniem. To dzięki nim, między przypadkowo spotkanym człowiekiem a nami (bez względu na metrykę) rodzi się natychmiast niewymuszona serdeczność, gdy tylko dowiadujemy się, że on również jest absolwentem „Kopra”.

Mówmy o naszych belfrach, przywołujmy ich nazwiska, pielęgnujmy pamięć o nich.

## Michał Fajbusiewicz, dziennikarz – matura 1969



Z wykształcenia jestem pedagogiem. Na szczęście nigdy nie wychowywałem młodzieży, chociaż były takie momenty, że z młodzieżą współpracowałem. Potem skończyłem politologię, co jest moją kulą u nogi, bo zmusiło mnie, żeby się polityką interesować i na chwilę w nią wdepnąć, ale zaliczam to do błędów młodości. Całe życie chciałem być aktorem i kiedy w wieku trzydziestu paru lat trafiłem do telewizji, to mam wrażenie, że moje marzenia się spełniły, bo dziennikarstwo telewizyjne ma przecież także coś z aktorstwa. Upřednio pracowałem w jedenastu firmach i wielu zawodach. Byłem i kelnerem i kierownikiem ośrodka wczasowego, nawet działaczem w ZMS, ale to wszystko trwało krótko rok, dwa, aż przypadek zrządził, że wylądowałem w telewizji, podobnie jak przez przypadek dostałem się do Kopernika, liceum, które ustawiło mnie na całe życie.

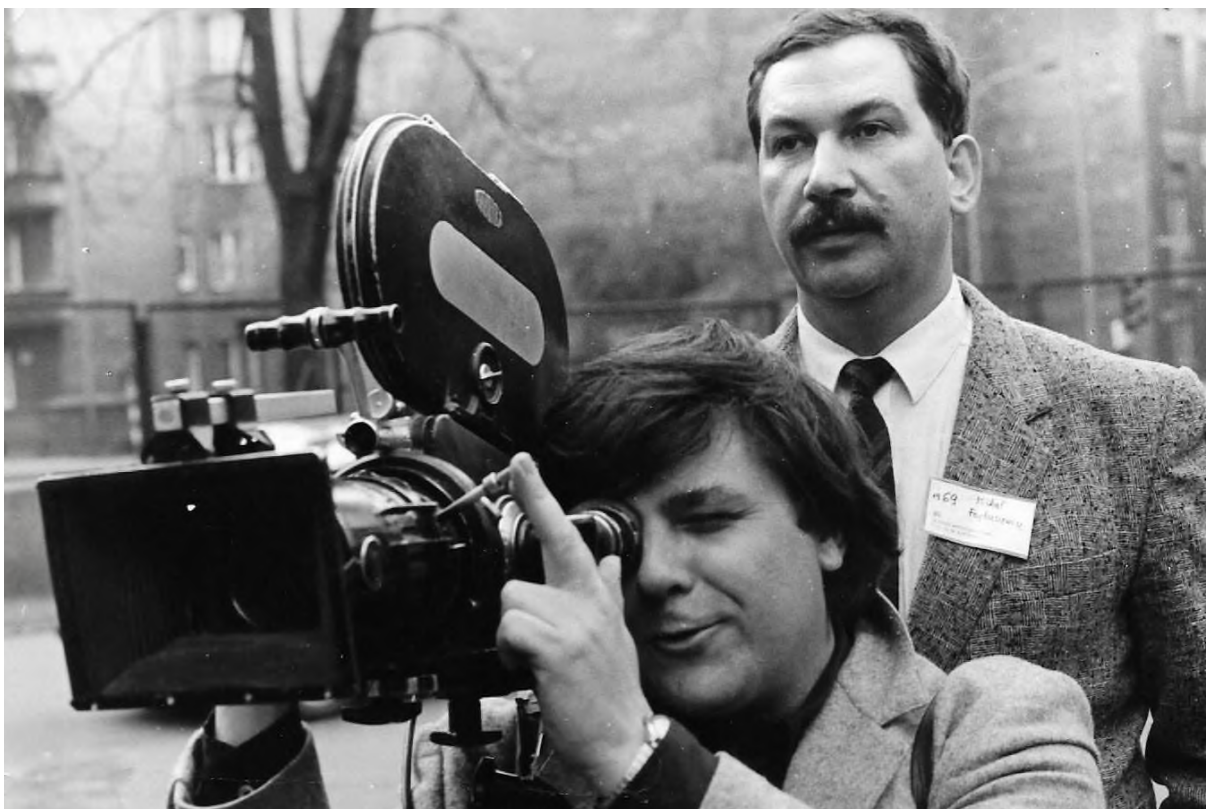
Tu właśnie rozbudziły się moje zainteresowania i poznałem wielu fantastycznych ludzi. Przypadek, zaś polegał na tym, że władza chcąc nieco rozproszyć elity, które między innymi szły do Kopra, wprowadziła rejonizację szkół średnich. Ponieważ mieszkałem bardzo blisko liceum na Więckowskiego 22, to miałem szansę dostania się do Jedynki, o czym wcześniej nawet nie marzyłem.

A w telewizji... Najdłużej zajmowałem się tematyką kryminalną w programie „997”. Jednak, sądzę, że moim największym osiągnięciem, które pozostanie w annałach jest film dokumentalny o profesorze Janie Karskim, jedynym z największych polskich bohaterów XX wieku, też łodzianinie. Jest o tyle ważny, że to jedyny dokument zrobiony za życia profesora.



Mój program kryminalny, to była ciężka praca, która niejednokrotnie doprowadzała mnie wręcz do kryzysów psychicznych. Uważałem, że najważniejsza jest prawda czasu, prawda ekranu. Jeździłem, zatem w te miejsca zbrodni. Spotykałem się z bliskimi ofiar i oni mnie uważali po pierwsze za tego, który z pewnością znajdzie mordercę, a po drugie za spowiednika czy księdza. Musiałem nieraz przerywać zdjęcia, żeby tych ludzi wysłuchać, przytulić. To była dla mnie straszliwa trauma i szukałem jakichś odskoczni, ucieczki od tych tragedii i znów przypadek...

Na początku lat dziewięćdziesiątych spotkałem polskiego emigranta z Republiki Południowej Afryki. Miał biuro turystyczne w Kapsztadzie i zaproponował mi pokrycie wszystkich kosztów, bylebym tylko pokazał RPA i kraje ościennie w TVP, jako atrakcyjne turystycznie. Namówiłem ówczesną szefową Dwójki, że za małe pieniądze można przygotować nowy cykl i tak powstał program „Z Dwójką dookoła świata”.



Powstało około pięćdziesięciu programów z różnych miejsc na świecie i dzięki temu zwiedziłem ponad sto krajów. Interesowałem się także tematyką żydowską, dzięki czemu powstało ponad dwadzieścia reportaży kręcąc w Polsce, w Izraelu, w Niemczech, we Francji. Szkoda, że do tego nie wracamy. Poza tym jeszcze przez trzy lata robiłem program o modzie „Nasza szafa”, w którym zresztą debiutowała, nasza koleżanka Anita Werner. I wreszcie dwadzieścia pięć odcinków telewizyjnego kabaretu wspólnie z kabaretem „Pirania”. Po dwudziestu pięciu latach wiele skeczy i tekstów, zwłaszcza politycznych, nadal brzmi aktualnie. I początków tych kabaretowych ciągot należy szukać jeszcze w dzieciństwie, kiedy to urządziłem przedstawienia na klatce schodowej, a następnie w liceum w słynnym kabarecie „Kiełbie we łbie”. To była najpiękniejsza część mego życia, choć oczywiście potem było wiele przygód i wiele sławy mołojcekiej, ale Koper to, jest to. Z całym gronem profesorskim. Najbardziej lubiłem panią profesor Aleksandrę Sachadyniuk, niezwyklej klasy wykładowcą. Potrafiła przemycić wiele szczegółów z najnowszej historii polski, które wybiegały poza dozwolone ramy programowe. Porównując ją i kilku innych profesorów ze szkoły z wykładowcami na Uniwersytecie, to śmiało mogę stwierdzić, że reprezentowali poziom uniwersytecki. To były wysokiej klasy wykłady, a nie standardowe lekcje.



Niezwykłą postacią była też, dla przykładu, pani profesor Joanna Janowska, z którą pewnie miałem nawet większą chemię niż z prof. Sachadyniuk. Jednakże ta ostania poinformowała mnie, że za działalność w kabarecie, za rozstawienie szkoły na wyjazdowych występach kabaretu, postawi mi czwórkę z historii, mimo że zasługuję tylko na trójkę. Tak, więc miałem czwórkę na świadectwie maturalnym bardziej za zasługi, niż za wiedzę.



#### Kabaret Kiełbie we Łbie

I tak na koniec, pragnę powiedzieć naszym najmłodszym koleżanką i kolegom, żeby wierzyli w swoje szczęście i nie do końca planowali swoją karierę. Korzystajcie z tego, co was interesuje i pociąga. Najgorzej jest, gdy ma się nudne życie. A pierwszym szczęściem łutem jest to, że jesteście uczniami, że jesteście wychowankami I LO im. Mikołaja Kopernika w Łodzi. Nie bójcie się jej. Wykorzystajcie swoją szansę.



*Stan na czerwiec 2004 r.*



**Janusz Kotliński, wieloletni prezes Stowarzyszenia Wychowanków - matura 1971**



Janusz Kotliński: Przyszedłem do szkoły w 1967 roku. To były trudne, pierwsze lata, zwłaszcza ro 1968. Pamiętam te wydarzenia, które pozostawiły we mnie przykre wspomnienia. W szkole było sporo osób pochodzenia żydowskiego. Kilkanaścioro naszych koleżanek i kolegów musiało wyjechać, ale utrzymaliśmy z nimi kontakt.

Ale poza tym... Piękne cztery lata spędzone w szkole i... znajomości, koleżanki, koledzy, miłości i moja żona Ewa Nawrocka, z którą jestem do dzisiaj. Jesteśmy przykładem udanego, szkolnego małżeństwa.

KT – Nie jesteście wyjątkiem. Kopernik złączył wiele par, których dzieci wróciły, wracają do Jedyńki. Sztafeta pokoleń biegnie dalej.

JK – Znam już trzecie pokolenie, które uczy się w naszym liceum. Tak, to specyficzna szkoła. Pierwsza, w której obowiązywały mundurki.



Nasza klasa IVC w oczekiwaniu na mundurki

W tych mundurkach wszyscy byliśmy równi, byliśmy kolegami, przyjaciółmi, byliśmy razem. Nie było Internetu, ale spotkaliśmy się na brydża, na wycieczkach, w kabarecie „Kiełbie we łbie”, w kole geograficznym. Mieliśmy zgraną paczkę kilkunastu osób. Nawet nasi rodzice się znali

Te nierozzerwalne przyjaźnie trwają do dnia dzisiejszego. Niestety przychodzi



czas, kiedy rozstajemy się na zawsze.

Spektakl szkolny „Śmierć Kopernika”

Moim dyrektorem był Marian Wolniewicz, dość surowy, nauczał matematyki i astronomii, ale jednocześnie był życzliwy dla uczniów. Podobnie jak wielu profesorów, wyjątkowych: panie profesor Joanna Janowska, Aleksandra Sachadyniuk, Halina Kamińska.

Pani Sachadyniuk była zawsze z nami, wszystkie przerwy spędzała na korytarzu. Do niej można było przyjść i opowiedzieć o wszystkich swoich problemach. Jej nauka historii nie opierała się na

książkach, ale była też wymagająca. Musieliśmy znać, z całą pewnością nazwy trzech piramid egipskich: Heopsa Hefrena i Mykérinosa..

KT – Co spowodowało, że zacząłeś aktywnie działać w Stowarzyszeniu Wychowanków?

JK – Kiedy poszedłem na studia na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ, to atmosfera była dalece inna od tej jaka znałem w Koprze. Nie miałem takiej grupy, z którą mógłbym się identyfikować. więc postanowiłem wrócić do ludzi, z którymi mi było dobrze. Zapisaliśmy się do Stowarzyszenia całą grupą z naszej klasy. I tak zostałem. Nie jestem już prezesem, ale jestem aktywnym członkiem.

KT – Spotykamy się w szkole, kiedy obaj jesteście członkami jury podczas występów z okazji Dnia Patrona szkoły, kiedy oceniamy dzisiejszych uczniów. Podjąłbyś się porównania pokoleń?



JK – Nasi młodzi koledzy i koleżanki są bardzo oryginalni, ale i prawdziwi. Jestem przekonany, że możemy wiązać z nimi nadzieje. Pewnie coś przekazaliśmy naszym synom, córkom i wnukom. Oni chcą i będą sobą i poniosą naszą dewizę, że warto być człowiekiem dobrym!



Klasa I C. Pierwszy z prawej Janusz Kotliński. Lekcja matematyki z panią profesor Łyczkowską

## Joanna Dyniewska Jabłkowska, germanistka – matura 1972



Joanna Jabłkowska : Po skończeniu I LO studiowałam germanistykę na Uniwersytecie Łódzkim i obecnie jestem profesorem i dziekanem Wydziału Filologicznego.

A szkoła? Nie byliśmy pokornymi uczniami. Ja byłam, co prawda, kujonem, to znaczy chętnie się uczyłam. Ale, na przykład, nie lubiłam się z Bładym (profesorem Boissé)

KT: Jesteś wyjątkiem, a przynajmniej pierwszą, która się do tego przyznaje...

JJ – To znaczy, koniec z końców się polubiliśmy. Moja córka też kończyła Jedynekę i jeździła na obozy z Bładym. My ją czasem odbieraliśmy i sympatycznie spotykaliśmy się z profesorem. Natomiast w szkole darliśmy koty, bo mnie drażniło, gdy ktoś mi mówił, co mam robić. Błady, natomiast chciał, by go

słuchano, uwielbiał być chwalony i doceniany. Jak grał w piłkę to rozglądał się czy wszyscy dostrzegli jego wspaniałe podanie?

Mnie to trochę wkurzało i w odwecie nie uczyłam się geografii, co nie było najmądrzejsze. No, powiedzmy, że uczyłam się aby, aby... I Blady mnie też nie lubił.

Lubiłam natomiast Spina (prof. Mieczysław Stańczyk), który był wychowawcą naszej klasy. Też trochę z nim darliśmy koty, ale klasa go raczej akceptowała i tak zostało do końca. Przychodził do nas potem na spotkania klasowe.

Bardzo też ceniłam panią profesor Olgę Stande, ale niestety uczyła nas tylko rok, a matematykę przejął „Boniek», czyli profesor Bonifacy Kupski. Nie miał do nas właściwego podejścia i nie potrafił nad nami zapanować.

Dość neutralny stosunek miałam do „Bonzura», czyli profesora Urbańczyka od francuskiego. Może on się nas trochę bał?

Robiliśmy mu wiele głupich psikusów. Kiedyś, na przykład, mieliśmy zajęcia w bardzo małym pomieszczeniu. Jedna z koleżanek przyniosła jakąś starą wodę kolońską. Chłopcy pokropili nią obficie odwróconego do tablicy „Bonzura”. Biedny nie wiedział, dlaczego w tym pomieszczeniu jest taki obrzydliwy zapach.

Ot szkolne „dowcipy»..., ale one jednoczyły klasę i te przyjaźnie pozostały do dziś. Przyjaźnię się z Joasią Słupecką, z Tomkiem Krakowskim, Tadzkiem Żylińskim, z Tadzkiem Skarzyńskim, z Zybkiem Głuszcakiem. Czasami mamy spotkania klasowe. Widujemy się – jak na nasz wiek – dość regularnie. Z Zybkiem i Tadzkiem Skarzyńskim i jego żoną – też z Jedyńki – jeździmy na narty.

Te przyjaźnie z liceum są najtrwalsze, bo to jest najprzyjemniejszy okres w życiu każdego z nas. Poza tym, Kopernik, to po prostu była dobra szkoła i uczniowie byli fajni. Trochę nas spaja też Stowarzyszenie Wychowanków i zjazdy, co pięć lat.

KT – A co spowodowało, że zostałam germanistką?

JJ – Chciałam studiować archeologię, ale moi rodzice uważali, że trzeba studiować coś praktycznego. Odrzuciłam medycynę i prawo, bo nie! A ponieważ bardzo dużo czytałam, a uczyłam się wcześniej niemieckiego, więc wylądowałam na germanistyce. To wtedy nie była pasja mego życia, ale teraz

mi się wydaje, że dobrze wybrałam. Chociaż czasem żałuję, że nie jestem archeologiem.

Ze szkoły wyniosłam solidne wykształcenie. Nawet, jeśli później zapominały większą część z tego, czego nas uczono, to pozostają zainteresowania i ciekawość. I na tych podstawach można było wiele zbudować. Poza tym w Jedynce było sporo inteligentnej młodzieży. Chodziliśmy do DKF (Dyskusyjny Klub Filmowy), biegaliśmy na Konfrontacje, czyli doroczne przeglądy najlepszych filmów ze światowej kinematografii. Zainteresowałam się fotografią za sprawą profesora łaciny Mariana Okurowskiego, który prowadził kółko fotograficzne. Nawet, jeśli później już nie miałam czasu na rozwijanie takich hobby, to coś z tego zostało. Dla niektórych, na przykład dla Zybka, fotografia jest nadal pasją. Czasem chodziliśmy na węgry do Muzeum Sztuki, naprzeciwko szkoły. Ja chodziłam raczej po szkole, nie na węgry.

Powiedziałabym, że w Koperniku rozwijały się pozytywne snobizmy, które młodzi, otwarci ludzie chłonęli. Do dziś korzystamy z ówczesnych inspiracji.



## Joanna Słupecka, wieloletnia Prezes Stowarzyszenia Wychowanków - matura 1972



Z prof. Stańczykiem

Moja przygoda z Koprem zaczęła się 1 września 1968 roku i trwa nadal.

Czteroletni pobyt w szkole obfitował w liczne wydarzenia i był udany dzięki klasie i wyjątkowemu wychowawcy profesorowi Mieczysławowi Stańczykowi/Spinowi/. Profesor zabrał nas na dwie kilkudniowe, pełne przygód wycieczki do interesujących historycznie i architektonicznie miejsc.

Robiliśmy różne uczniowskie kawały, między innymi przyczepiliśmy papierową rybkę nauczycielowi francuskiego 1 kwietnia/poison d'avril/. Niektóre powiedzenia nauczycieli pamiętamy do dziś. Wychowawca miał ich wiele. Mówił, na przykład, że objedzie kogoś jak święty Michał diabła w dzień Wielkanocy, a rusycystka profesor Irena Falczewska /Irina/ na beznadziejną odpowiedź reagowała: moja płakać, twoja skakać lub kryminalnaja aszibka.

Dzięki Tadekowi Żylińskiemu wielu z nas zostało harcerzami i wspólnie jeździło na rajdy i obozy z profesorem Januszem Boisse. Kontynuuję te przyjaźnie klasowe. Wspieramy się i spotykamy się prawie co rok.

A potem było Stowarzyszenie Wychowanków.

Z sentymentem wspominam pierwsze spotkanie z Zarządem i członkami Stowarzyszenia w końcu lat 70-tych. Koleżanka z klasy Ania Pietrzak pomagała Sekretarzowi i odtąd obie wypisywałyśmy kilka razy do roku adresy na kilkuset kopertach skierowanych do absolwentów. Zaimponowała mi troska zebranych o szkołę i wychowanków. Kilka lat później sama weszłam w skład Zarządu obejmując z czasem funkcję Prezesa przez trzy kadencje. To była bardzo intensywna aktywność, związana przede wszystkim ze zjazdami, szczególnie tym z okazji 100-lecia Szkoły. W Zarządzie współpracowało ze mną bardzo owocnie wiele osób, tak samo jak ja, fanów Kopra. Brałam udział w powstaniu pięciu kolejnych wydawnictw.

W czasie przygotowywania ważnych wydarzeń wspierali nas chętnie koledzy ze starszych roczników. Z uznaniem myślę o pomocy ze strony kolegi Witolda Kiełbasińskiego/matura 36/ przy wydaniu książki na setną rocznicę Szkoły. Ze wzruszeniem wspominam rozmowy z kolegą Waldemarem Dońcem, który powierzył mi swoje wspomnienia i opowiadał o drugim naszym bohaterze Januszu Włodarskim/matura 39/. Waldemar Doniec, był ponadto inicjatorem artystycznej fotografii turystycznej.

Praca w Zarządzie umożliwiła mi realizację cyklicznych „spotkań przy kawie” dostępnych dla każdego absolwenta. Jak wiele mamy sobie do powiedzenia.

Zachowanie tradycji i ciągłość Stowarzyszenia towarzyszyło mi podczas pełnienia funkcji Prezesa, a pomoc koleżanek i kolegów była niezwykle cenna. Bardzo istotne było też wsparcie Dyrekcji, najpierw Dyrektora Jana Kamińskiego, a następnie Dyrektora Ewy Wojciechowskiej.

Nasze działania miały na celu integrację wychowanków i pomoc Szkole.

Przez wiele lat organizowaliśmy spotkania z wyjątkowo interesującymi absolwentami, między innymi z pisarzem Andrzejem Zimowskim/mat.50/, z Marią Karasińską-Fendler/matura 75/ z grupy negocjatorów wejścia Polski do

UE, z sędzią Anna Wesołowską/matura 74/ na temat sytuacji prawnej młodzieży czy operatorem filmowym Witoldem Sobocińskim/matura 51/.

Warto wspomnieć i niezwykle cennej inicjatywie Ireny Suprunowicz/matura 75/ stworzenia nagrody imienia profesora Karola Króla /tak zwanej nagrody Królewska.

I wreszcie mój udział w Radzie Szkoły i nie tylko

Od początku powstania Rady Szkoły biorę udział w jej zebraniach. Z uwagą i sympatią przyglądam się inicjatywom Samorządu Uczniowskiego, ich świeżym pomysłom i entuzjazmowi. Natomiast, uczestniczenie w jury konkursu „Koper ma talent” w dniu Patrona to wielka przyjemność. Okazuje się bowiem, że tak jak my, kolejne pokolenia kopernikowców są skarbnicą talentów i możliwości.

Niebywałą okazją do podtrzymania koleżeńskich kontaktów są także bale karnawałowe organizowane przez Tadeusza Żylińskiego/matura 72/, na których panuje uśmiech i serdeczna atmosfera.



Mówiąc krótko: Koper będzie zawsze ważną częścią życia mojego i wielu z Was. Tradycja i wartości nas łączą bez względu na przebytą drogę życiową i miejsce zamieszkania.

## Tadeusz Żyliński, biznesmen - matura 1972



Już jestem na emeryturze, ale tak tylko trochę. Od trzydziestu lat zajmuję się finansami, czyli jakby po łódzku powiedziec robię w pieniądzach. Tak, jak to określali bohaterowie „Ziemi Obiecanej”. A innymi słowy doradca finansowy.

Wspominając czasy szkolnej młodości w Koprze ? To była przepiękna zabawa. Mimo, że dwa razy chciano mnie wyrzucić. Miałem dziewięć lat, kiedy dostałem polskie obywatelstwo, byliśmy tzw repatriantami ze Wschodu, a w rzeczywistości uchodźcami z Litwy Kowieńskiej przed chciwymi autochtonami, jak i ich nowymi władcami, po dziesięcioletniej kwarantannie „na zesłaniu”. Myślę że w dużym stopniu determinowało to moją postawę w szkole, jak i zaufanie do profesorów o podobnej historii [prof. Boisse, prof. Falczevska] lub szacunku dla historii rodziny Dyr. Dobrowolski, prof. Duszyńska, prof. Stańczyk, prof. Sacadyniuk, nie odczuwałem łódzkiej pogardy dla „ruskich” i innych obcych.

Wyniki w nauce miałem przeciętne, ale cztery lata w szkole wspominam jako wspaniałą przygodę w okresie dochodzenia do dojrzałości, przygodę, która miała miejsce w kulturalnej atmosferze.

To ważne, bo wychowywałem się na Sienkiewicza, w otoczeniu szemranego towarzystwa, mieszaniny inteligencji z biedą, prostytutką i chuligaństwem. Znam wiele przykładów napadów i morderstw. Dlatego nie poszedłem do III LO, miało opinię czerwonego liceum. A po przeżyciach w Kraju Rad byliśmy na to specjalnie wyczuleni.

Do Kopernika poszedłem śladem moich dwóch braci Czesława i Andrzeja i żeby się wyrwać ze wspomnianego wyżej środowiska. Zajął się mną profesor Stańczyk, który być może nie raz żałował tego uczynku, ale koniec końców zostaliśmy przyjaciółmi.

Kiedy przyszedłem do szkoły, to jeszcze żywa była legenda dyrektora Kazimierza Dobrowolskiego, który stworzył kadre profesorska na poziomie. Bronił i nauczycieli i uczniów przed różnym zakusami z zewnątrz. Zatem, nowy dyrektor Marian Wolniewicz stanął przed trudnym zadaniem wyrobienia sobie przyjaznego autorytetu, zwłaszcza, że miał otoczkę przystanego przez partię. Udało mu się to w pełni. Zachował dobre imię i poziom Kopra i jego kadry profesorskiej. Takie postacie jak profesor Stanisława Duszyńska, Aleksandra Sachadyniuk, czy pani profesor Olga Stande, to wybitni nauczyciele, profesor Karol Król, Janusz Boise, profesor Falczewska od rosyjskiego...

Osiągnięć naukowych nie miałem, ale życie w szkole pachniało przygodą. Szczególnie na obozach i rajdach z „Bładym”. Ta integracja, wspólnie spędzone dni i noce były czymś niesamowitym.

Profesor Boise przejmował harcerstwo od profesora Stańczyka. Żartuję nawet, że to ja go przyjmowałem do harcerstwa, bo byłem już w nim za czasów „Spinozy”.

Błady, kiedy przejmował harcerstwo był już legendą w szkole za sprawą obozów i wycieczek Koła Geograficznego, ale przede wszystkim za sprawą jakże popularnego kabaretu „Kiełbie we łbie”. Byłem w kręgu wielbicieli kabaretu i cały zespół przyjęliśmy do harcerstwa, byłem wtedy drużynowym Trójki (drużyny harcerskiej nr 3). Harcerzy z nich nie stworzyliśmy, ale integrowaliśmy się wspaniale. Fakt, że wybrano mnie drużynowym uratował mnie przed wyrzuceniem ze szkoły. Za co? Za to że wyciągnąłem całą klasę na węgry, a kilku kolegów zeznało, że ich zmusiłem. Skończyło się na przymusowej rezygnacji z gospodarza klasy.

Dziś to wszystko pozostało jako miłe wspomnienia.

Pamiętam, że w rocznicę powstania styczniowego przyniosłem do szkoły stare pocztówki reprodukcje Grottgera z tekstami piosenek powstańczych, wydane jeszcze przed pierwszą wojną i powiesiłem je na tablicy. Okazało się, że niektórzy z kadry profesorskiej uznali je za niewystarczająco prawomyślne. Z jednej strony Romuald Traugutt, było nie było bywszy oficer armii rosyjskiej, a patron naszej drużyny harcerskiej, a z drugiej strony treść piosenek w kontrze do oficjalnej przyjaźni z Rosjanami.

I jeszcze jedno wspomnienie. Do szkoły przyszedłem w 1968 roku. Równoległe ze mną przyszła córka profesora Amsterdamskiego. Niestety pod koniec pierwszej klasy musiała opuścić i naszą szkołę i nasz kraj. Tak się składa, że moi rodzice spędzili wiele lat z p.p. Amsterdamskimi p.Szwarsztajnem na zesłaniu, z ich dziećmi spotkałem się w Koprze, znak tolerancji czy poziom szkoły?

Każdy miesiąc, każdy rok w szkole to była jakaś historia związana z dalszym dorastaniem.

Kiedyś załapałem się na wycieczkę z najlepszymi uczniami, chyba w nagrodę, że zebrałem najwięcej makulatury lub inną działalność społeczną. Było wiele wybitnych koleżanek, a ja w tym gronie czułem się jak truteń.

Niezapomniane były też wyjazdy na obozy OHP (Ochotniczych Hufców Pracy) z profesorem Sachadyńskim. Dobierała zwykle do nas także przedstawiciele tak zwanej trudnej młodzieży, czyli zwykłych zakapiorów. Jedzenie było podłe, ale rozróbki trwały całe noce, p. Prof. cierpiała na tzw. kurzą ślepotę. Często nie zdejmowaliśmy nawet ubrań, kiedy rano budziła nas pani profesor. Na szczęście nauczyłem się "nie bać" na Sienkiewicza. Była to niebywała nauka „pracy” w socjalizmie. A po pracy biegliśmy na podryw do Dąbówki lub gospody.

I nawet jeśli zbieraliśmy bury od pani profesor, to i tak docenialiśmy jej życzliwość i poczucie humoru. Można z nią było wieść długie dysputy o historii, ale do pewnych granic. Poza nimi rozciągały się tematy tabu. Ona też swoje przeszła w Związku Radzieckim i wiedziała, że ściany mają uszy.

Największą, moją zdobyczą ze szkoły nie jest wiedza, nawet nie przygody i emocje, ale moja obecna żona Elżbieta Wojsa.





Ela Wojsa

Post scriptum od spisującego te wspomnienia

A dla mnie Tadeusz Żyliński pozostanie jako niezmordowany organizator Bali Wychowanków naszego LO. Zawsze potrafił zgromadzić wyborne towarzystwo, zorganizować świetną kuchnię i dobrą muzykę. Po każdym Balu pozostaje również wiele emocji i sympatycznych pamiątek.



## Anna Maria Wesołowska (Rodzoch), sędzia – matura 1974



*Łódzka sędzia, współautorka ustawy o świadku koronnym. Była członkinią składów orzekających w procesach łódzkiej „ośmiornicy” i gangu Popeliny. Brała udział w wydaniu orzeczenia o nałożeniu na siedemnastoletniego handlarza narkotyków obowiązku ostrzegania młodzieży na lekcjach wychowawczych przed handlem i używaniem narkotyków. Zainicjowała program uczestniczenia w rozprawach sądowych uczniów w wieku 15–18 lat jako formę edukacji prawnej. Prowadziła w początkowym etapie jeden z pierwszych w Polsce program pokoju przestępców dla dzieci – świadków i ofiar przestępstw. Oddana ludziom popularyzatorka prawa. Występowała w serialu „Sędzia Anna Maria Wesołowska”, emitowanym w latach 2006–2011, na antenie TVN, a od 2019 na TTV, grając samą siebie*

Krzysztof Turowski: Jak to się stało, że zna cię niemal cała Polska

Anna Maria Wesołowska – Ja też znam prawie całą Polskę. Odwiedziłam około dwóch milionów młodych ludzi, a to się łączy ze spotkaniami z ich rodzicami, dziadkami, lokalną społecznością i władzą. Rozmawiamy o współczesnych zagrożeniach, roli szkoły w przekazywaniu wartości, obowiązkach rodziców, ale

również znaczeniu Konstytucji. Taka praca u podstaw, od co najmniej piętnastu lat, w tysiącach miejsc w całej Polsce. Wyjeżdżam często o piątej rano. Najpierw spotykam się z przedszkolakami, następnie z uczniami szkół podstawowych i starszą młodzieżą, później spotkanie z zespołem interdyscyplinarnym, który ma chronić rodzinę, ośrodkiem pomocy społecznej, komisją rozwiązywania problemów alkoholowych, pedagogami, dyrektorami szkół, kuratorami, policją i przedstawicielami kościoła w danej miejscowości. Rozmawiamy, jak w dzisiejszej rzeczywistości ratować polskie rodziny. Jako prawnik przedstawiam w przystępny sposób najważniejsze przepisy. Wieczorem spotykam się z całą społecznością lokalną, dziadkami, rodzicami, albowiem edukacja prawna samych dzieci niewiele da, albowiem problem tkwi w tych, którzy wychowują, czyli w dorosłych.

- Czy wiesz, jakie są marzenia polskich przedszkolaków?

- Nie wiem.

- A jak myślisz? Usiłuję od lat znaleźć jedną osobę, która wie, o czym marzą polskie dzieci.

- Żeby mama i tata mnie przytulali.

- To na czwartym miejscu. W pierwszej kolejności marzą, żeby rodzice się nie kłócili. Rodzice zamykają drzwi – opowiadają dzieciaki – i myślą, że ja nie słyszę, ale ja słyszę i tu mnie wszystko boli – pokazują na serduszko. Widzę w oczach tych maluchów, że naprawdę boli. A na drugim miejscu?

- Żeby mieli więcej czasu dla mnie?

- To też dalej. Dzieci nie myślą o sobie, tylko o rodzinie, ciepłej i bezpiecznej. Dlatego marzą, żeby rodzice nie bluźnili, uwierzysz? A na trzecim miejscu, żeby nie pili i nie palili. Bo rodziców kochają i chcą, żeby długo żyli.

Taka wiedza jest na wagę złota. Nie wiedząc, nawet bardzo kochając, możemy skrzywdzić i krzywdzimy. Dlatego uważam, że to, co robię jest bardzo ważne.

Próbowałam rozpowszechnić edukację prawną społeczeństwa i zainteresować tym media. Te „luksusowe” nie są zainteresowane. Decydentom brakuje świadomości, że dzisiejsze problemy dotyczą wszystkie dzieci, szczególnie te z tak zwanych dobrych rodzin.

- Pani sędzia to już temat nie na okładkę, trochę przebrzmiała – słyszę od jednego z redaktorów naczelnych.

Afera Ośmiornica to było ważne, ale edukacja prawna – po, co. Jak ten świat, nasz kraj ma się obronić przed bezmyślnością tych, którzy powinni być przygotowani do zauważania tego co ważne? Społeczeństwo potrzebuje nie tylko „chleba i igrzysk”, ale przede wszystkim edukacji.

KT: A skoro o edukacji mowa, to jaką edukację wyniosłaś z naszego I LO?

Wyniosłam świadomość, że każdy z nas ma możliwość ten świat ulepszać i budząc się każdego dnia mogę coś w tym kierunku zrobić, podnosząc papierek na ulicy, uśmiechając się do sąsiada. Każdy małymi kroczkami może naszą rzeczywistość budować dobrą.

Koper to dla mnie „czarowne” miejsce, do którego uśmiecham się w myślach. Matura rocznik 1974 – tyle lat minęło, a przyspieszone bicie serca, gdy przekraczam próg szkoły, mojej szkoły, pozostało. Nadal czuję się tutaj jak w domu rodzinnym. Może trochę dlatego, że mój brat Andrzej i siostra Wanda to również maturzyści „Kopra”.

Jest w murach tej szkoły coś magicznego, duch patriotyzmu, szacunek dla innych, wartości i zasady, którym należało się podporządkować. Mundurek, tarcza przyszyta nie na agrafkę, spódnica pięć centymetrów przed kolano. Dzisiaj wspominam je z uśmiechem. Pozostało jeszcze coś ze szkolnych lat. Wypracowana w tamtych latach jedność powoduje, że kopernikowcy, kiedy spotykają się mówią sobie od razu na ty, bo jesteśmy wszak z jednej rodziny: Poza tym pozostała duma i sentyment, twardy kręgosłup, trwałe przyjaźnie i silne poczucie sprawiedliwości.

W tej szkole słowa prawo i sprawiedliwość miały prawdziwą wartość.

Pamiętam, jak Pani profesor Sahadyniuk wypraszała mnie z klasy, gdy próbowałam prostować historię o Katyniu, ale jednocześnie puszczała do mnie oko. Wiedziałam, że jest ze mną, ale chroni mnie przed reżimem tamtych czasów. Tak buduje się autorytet szkoły, profesorów, którzy na zawsze pozostają w sercach uczniów. Warto dbać o autorytety – kształtują naszą rzeczywistość.

Oczywiście nie wszystkich kochaliśmy. Nie lubiłam matematyki, a mój matematyk i wychowawca „Boniek”, Bonifacy Kupski orzekł, że:  
- Rodzyna (to od mojego panieńskiego nazwiska), jak ty cokolwiek w życiu osiągniesz, to mi kaktus na dłoni wyrośnie.

KT - Kaktus mu nie wróś, a Ty wyrośłaś.



Na szkolnej scenie, z prawej profesor Kupski

Może czar tej szkoły był w kabarecie „Kiełbie we łbie, może tworzył w jakimiś stopniu Błady, może harcerstwo, w którym byłam drużynową, może „Jaworyny” śpiewane w Bieszczadach, ale to powodowało, że czułam się odpowiedzialna za Polskę, czułam, że możemy zawalczyć, aby ten świat był sprawiedliwy i dobry. Może gdzieś w podtekście tliła się chęć życia w wolnym kraju. Zakończę credo Wojciecha Broszkiewicza – absolwenta z rocznika 1939, żołnierza AK, który zginął w roku 1943 na posterunku dla Polski:

Trzeba przemierzyć szereg dróg,  
Zanim opuścić przyjdzie ziemię.  
Szukać przyjaciół, nie zaś sług,  
Nie być przez życie bitym w ciemię.  
Nieważne to żeś jest ubogi,  
Byleś nie zboczył z prawej drogi.

Apel nie stracił na wartości, a KOPER to najpiękniejsze słowo świata – jak mówią słowa hymnu szkoły.

**Anna Hornich-Starczewska długoletnia sekretarz Stowarzyszenia Wychowanków i Bożena Góraj profesor radiologii – matura 1974**



Anna Hornich – Starczewska i Bożena Góraj drugi rząd o góry, pierwsze z lewej

Krzysztof Turowski: W śpiewniku Bładego, w piosence „Wertepy” są takie słowa:

*Wiatr pieści włosy dziewczyny  
czarniejsze niż nocy mrok  
nad ogniem iskry leniwie płyną  
z gwiazdami myli je wzrok*  
To podobno o Tobie Aniu?

Anna Starczewska: Błady napisał tę zwrotkę specjalnie dla mnie. Pierwszy raz usłyszałam tę piosenkę w Bieszczadach, w Otrycie na wakacjach. Błady mnie bardzo lubił i zlałam z nim wszystkie góry, wszystkie szczyty w Polsce.



Postać profesora Boissé jest dlatego tak bardzo związana ze szkołą i z nami, bo on właściwie zastępował nam ojca i matkę, brata i siostrę. Nie miałam z rodzicami takiego kontaktu, jaki miałam z profesorem. Całe dwa miesiące wakacji spędzałam z nim na obozach. Nikt inny nie byłby w stanie zorganizować nam takich wakacji w tamtych, trudnych czasach. Zawsze potrafił powiedzieć coś miłego. Oczywiście miewał też swoje humory, a jakże.

Dobrych profesorów mieliśmy wielu. Uwielbialiśmy panią profesor Sachadyniuk, profesora Stańczyka. Naszym wychowawcą był, nieżyjący już, matematyk, profesor Bonifacy Kupski. Miał dwa metry i trzy centymetry wzrostu i byliśmy jego pierwszą klasą po studiach. Uwielbiał opowiadać dowcipy, z których klasa się nie śmiała, bo nie przepadaliliśmy za naszym wychowawcą.

Ale... atmosfera koleżeńska była wspaniała. Przychodziłam do szkoły nawet jak miałam gorączkę, bo w domu było nudno, a w szkole zawsze coś się działo. Chodziłyśmy, na przykład, z Bożenką po korytarzu i oglądałyśmy starszych kolegów. W ogóle nasza klasa była bardzo zgrana i spotykamy się do tej pory. Ostatnio spotkaliśmy się na czterdziestolecium matury, za trzy lata będzie pięćdziesiątka, ale wtedy spotkamy się pewnie ostatni raz, bo potem może wiek nam nie pozwolić.

W tej szkole wszystko było wspaniałe, nawet pan woźny Skorupa, który chodził z dzwonkiem i dzwonił na przerwę i na lekcje, mimo że był już dzwonek elektryczny, ale on hołdował starej zasadzie. Pani woźna Marysia.

Wchodziło się do szkoły przez drzwi wahadłowe na półpiętrze, które później zniknęły. Inne też były żyrandole, a do harcówki schodziło się po schodkach, po lewej stronie były drzwi, które prowadziły na scenę. Co sobota odbywały się harcówki i wszyscy czekaliśmy, aż Blady przestanie śpiewać, bo później mogliśmy potańczyć przy piosenkach Beatlesów.

Bożena Góraj – Oj, Blady był humorzasty, obrażał się, rzucał krzyżem i trzeba go było umiejętnie udobruchać, ale byliśmy bardzo zżyci. Mimo, że pracowałam w wielu miejscach, to najtrwalsze moje więzi pochodzą z tej szkoły, z naszej klasy. Atmosfera była znakomita, chociaż można mieć uwagi do zachowania się profesorów. Wspomniana pani profesor Sachadyniuk bywała wręcz niegrzeczna...



AS – Za krótką spódnicę wylatywało się na korytarz

BG - ... i to z niewybrednymi uwagami. Może nie były to pedagogiczne wyżyny, ale byli profesorowie z charakterem, z charyzmą.

AS – Mimo wszystko wystąpiliśmy dla pani profesor o Order Uśmiechu.

BG – Bo była kimś, osobowością. Podobnie, profesor Król, który wyłaniał się ze zjeżonymi włosami, jak pan Kleks, z magicznej pracowni chemicznej. To nie była zwykła szkoła. Ona tworzyła bardzo silne więzi.

KT – Co robiłyście po szkole?

AS – Nie dostałam się na studia i skończyłam studium projektowania architektonicznego, ale nie pracowałam w zawodzie.

BG – Dość nieoczekiwanie dla mnie znalazłam się na medycynie, bo marzyłam o romanistyce, ale mój apodyktyczny tata zdecydował inaczej. Dostałam się, więc na medycynę, którą skończyłam. Nawet jestem wdzięczna tacie. Jestem profesorem radiologii i mam za sobą bardzo udane życie zawodowe, które przyniosło mi wiele, także pozazawodowych doznań. Pracowałam w różnych miejscach na świecie i moja praca stała się moją pasją.

KT – Podsumowując...

AS – Koper to moja wielka miłość.

BG – To piękny okres mego życia, z którego wyniosłam przekonanie, jak piękny może być świat młodego człowieka.

AS – „Koper to najpiękniejsze słowo świata” – śpiewaliśmy na studniówce.



**Iza Niedźwiecka – matura 1986**

**Lekarz, przewodnicząca Stowarzyszenia Wychowanków Gimnazjum  
i Liceum im. Mikołaja Kopernika**



Iza Niedźwiecka – Nauka w liceum, to dla mnie jedyny czas edukacji, który chciałabym powtórzyć. To jest moja prawdziwa szkoła, nie podstawówka, nie uczelnia, ale Jedyńka.

Tutaj była wspólnota. Czas wypełniony od rana do wieczora. Wspólne wyjazdy i przyjaźnie, które przetrwały do tej pory. Z podstawówki nigdy później nikogo nie spotkałam. Z kolegami i koleżankami z uczelni spotykamy się zawodowo – koniec. Natomiast prawdziwe więzi są tylko z przyjaciółmi z Kopra. Na spotkaniu po trzydziestu latach od matury odliczyli się praktycznie wszyscy i czuliśmy się tak, jak dawniej. Kiedy rozstawaliśmy się po imprezie, to mówiliśmy sobie do widzenia, do jutra.

Ta szkoła była, w pewien sposób, wyalienowana. Inni niemal wytykali nas palcami, że chodzimy w mundurkach, a my je nosiliśmy bez najmniejszego przymusu. W podstawówce nie chciałam nosić tarczy, a tu mundurek z tarczą mi nie przeszkadzał.

Z mojego rocznika ze szkoły podstawowej przyszedłam do Kopra sama. Ponieważ, wbrew pozorom, nie tak łatwo nawiązuję kontakty, to mogłam zostać samotna. Nie, tak nie było! Szybko stworzyliśmy zgrany zespół.

KT – To także zasługa profesorskiego grona?

IN – Tak. Najcieplej wspominam profesora Karola Króla. Trafiłam do Kopernika tylko dlatego, że byłam laureatem konkursu chemicznego. W innym przypadku byłabym w IX LO z przydziału w ramach rejonizacji. Zatem chemia była mi bliska, a z profesorem Królem jeszcze bliższa.

Równie ciepło wspominam panią profesor Czesławę Miazek, która gnębiła nas okrutnie, ale nikomu nie dała zginąć na maturze. Do dzisiaj wspominam jej fiszki w lekturach. Bywało ciężko, szczególnie, kiedy pani profesor przychodziła w czerwonej bluzce - wiadomo było, że szykuje się pogrom, a jak w białej, to można było trochę odpuścić. Z perspektywy lat patrząc, była super nauczycielem.

KT – A co spowodowało, że poszłaś na studia medyczne?

IN – Byłam bardzo chorowitym dzieckiem. Przychodziła co i raz pielęgniarka, z tępą igłą i dawała mi zastrzyki z penicyliny. W zamian dostawałam fiołeczki po

zastrzykach. Rozrabiałam w nich farbki i sprzedawałam zastrzyki moim ukochanym misiom. Później te misie rozcinałam i uznałam już wtedy, że będę chirurgiem. Takie dziecięce marzenie.

KT – Konsekwencja godna podziwu!

IZ – Miałam jednak wybór, albo na prawo, albo na medycynę, ale... musiałam się nauczyć dwóch przedmiotów, których nie lubiłam - historii na prawo lub fizyki na egzamin na medycynę. Uznałam, że dat z historii nigdy nie zapamiętam, więc wybrałam fizykę i poszłam na medycynę.

KT – W 2019 roku nastąpiła zmiana warty w Stowarzyszeniu byłych Wychowanków, zmiana wręcz pokoleniowa. Absolwentów z początku lat siedemdziesiątych zastąpiło grono o kilkanaście lat młodsze, a ty zostałam tego grona przewodniczącą?

IN – To też dzieło przypadku. Nasza grupa uznała, że chce wnieść coś nowego do Stowarzyszenia. Przemek Lipiński zaproponował, że chcemy utworzyć nowy zarząd i mnie też zaprosił do udziału w tym przedsięwzięciu. Zgodziłam się, zostaliśmy wybrani, ale kiedy przyszło do wyboru przewodniczącego, to nikt nie chciał. Nikt nie chciał, to padło na mnie.

Co chciałam osiągnąć w Stowarzyszeniu? Chciałam, aby Stowarzyszenie łączyło wszystkie pokolenia od najmłodszych bezpośrednio po maturze do najstarszych roczników, żeby zachować ciągłość pokoleń. Teraz też wracamy do Szkoły, ale po latach, najczęściej ze swoimi dziećmi. To świetne uczucie poczuć ponownie tę atmosferę, otworzyć drzwi, pokonać te same schody, usiąść w tych samych ławkach w dawnych klasach, być znowu u siebie, a po kilku latach stanąć pod Kopernikiem z nowym absolwentem. Teraz pierwszy raz na zjeździe nie będę sama, będzie ze mną nowe pokolenie Kopernikowców – moja córka, i mam nadzieję, że za kilka lat ponownie otworzą się dla mnie drzwi Kopernika. To właśnie jest fenomen Kopro.

## Przemysław Lipiński lekarz, - matura 1986



Doktor Lipiński specjalizuje się w leczeniu uporczywych i trudno gojących się ran, stosuje innowacyjne metody leczenia, takie jak np. biochirurgię, terapię podciśnieniową i inne.

Przemysław Lipiński: W szkole byłem aktywny na dwóch polach: w olimpiadach chemicznych z profesorem Królem i w harcerstwie z profesorem Boissé.

Profesor Król był niezwykłą osobą.



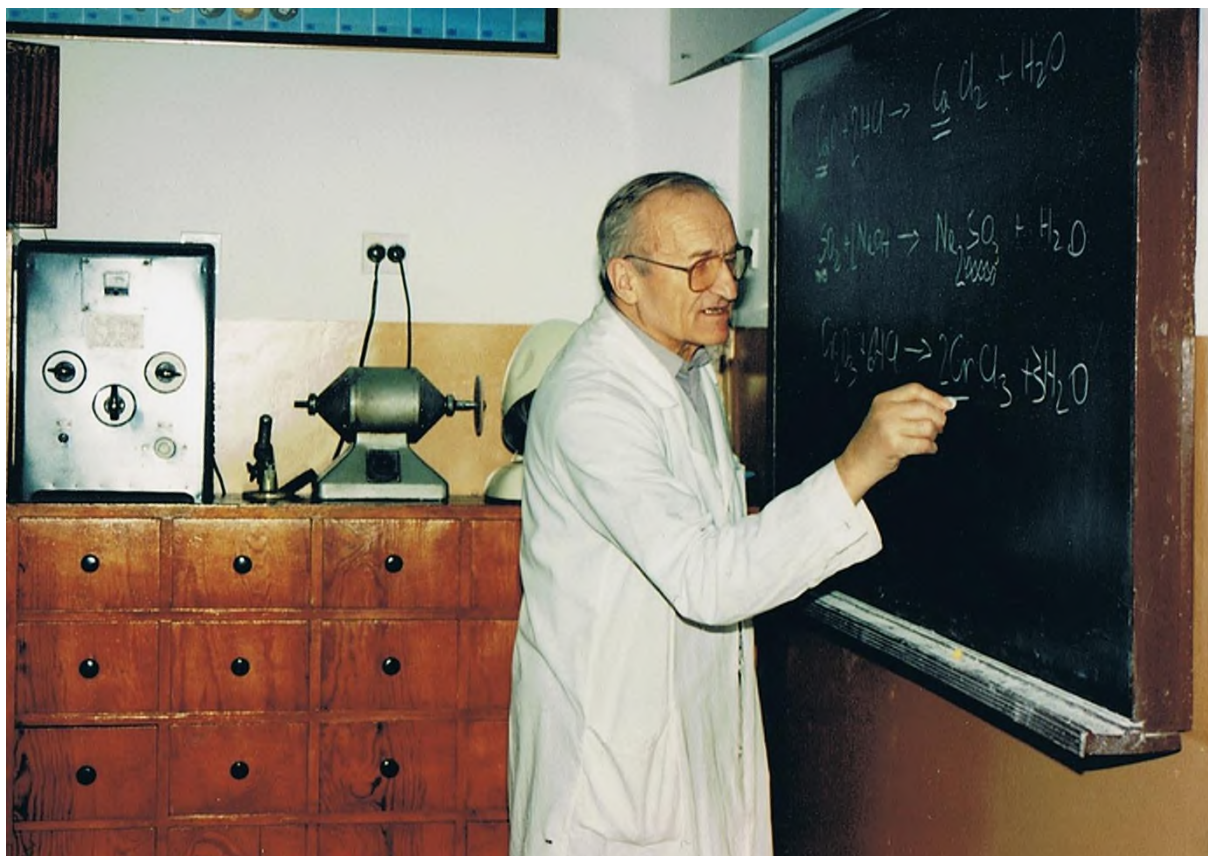


foto: Katarzyna Ulańska

Miał ogromny dar do zjednywania sobie ludzi. Gdybym nie miał takiego nauczyciela, z pewnością nie zostałem laureatem olimpiady chemicznej. Wokół chemii, wokół lekcji z tego przedmiotu tworzył niebywałą atmosferę. Na spotkaniach koła chemicznego siedzieliśmy czasami do dziesiątej wieczorem. Profesor dawał nam zadania z analizy jakościowej substancji. Przygotowywał dwie próbówki z nie wiadomo czym i trzeba było to rozwikłać. Kto rozwikłał, to szedł do domu. Z godziny na godzinę ubywało uczniów. Bywało jednak, że któryś z uczniów gorzej sobie radził lub dostał od profesora podchwytliwe zadanie, na przykład herbatę w próbówce, czego nie dawało się naszymi metodami zanalizować, to siedział i siedział, a profesor razem z nim. Było wspaniale. Pracowaliśmy w atmosferze akademickiej. Nauczyliśmy się uczyć samodzielnie i zadaniowo. Na olimpiady przygotowywaliśmy się jak do sesji. W skali ogólnopolskiej zajęłem dziewiąte miejsce, ale w klasie byłem dopiero trzeci, bo Mariusz Klencki był pierwszy w Polsce (dzisiaj profesor nauk medycznych), Maciek Matusiak był trzeci w Polsce, a ja dopiero dziewiąty. Koledzy jeździli na olimpiady międzynarodowe. Ja się nie załapałem, za to raz byłem profesorem Królem na obozie wędrownym na Kaszubach. I olimpiady i obóz wspominam wspaniale.

I tu możemy płynnie przejść do profesora Boissé. W harcerstwie, pod jego przywództwem działaliśmy przez okrągły rok, a zwieńczeniem była tzw. akcja letnia, czyli obozy. Nie licząc zgrupowań w Strużnicy rzadko jeździłem na obozy organizowane bezpośrednio przez Bladego. W naszym Szczepie im. Traugutta, którym kierował „Blady”, było przeciętnie 100-150 osób, zatem każda drużyna sama organizowała własne obozy letnie i zimowe, stałe i wędrownie. Ja również organizowałem wyjazdy dla mojej „Dziewiątki” (9 ŁDH im. Andrzeja Trzebińskiego). Przez osiem lat byłem drużynowym. W związku z tym przez sześć lat moich studiów bywałem w szkole codziennie. Miałem tam moich harcerzy i taki był mój instruktorski obowiązek. Nasz szczep był wówczas fenomenem na skalę ogólnopolską. Liczył do 150 harcerzy tylko w jednej szkole, siedem drużyn. Dzisiaj w szkole jest może kilkunastu harcerzy szczepu. Niebywała popularność harcerstwa w Koprze, w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, to zasługa Bladego, a dla nas najpiękniejszy czas w życiu.

Moje dzieci przechodzą w harcerstwie całą drogę „awansu” od zuchów, a ja dopiero w liceum wpadłem w sidła profesora Boissé, który nam ukazywał uroki harcerstwa i szliśmy za nim ławą, najczęściej nie mając żadnych wcześniejszych doświadczeń skautowych. Mieliśmy za to cztery lata wspaniałej zabawy i harcerskiej służby, a ci, którzy jak ja, zostali instruktorami, żyli z tym jeszcze dużo dłużej.

Pamiętajmy, że harcerstwo w Koperniku będzie obchodziło swoje 105 lecie. Dziś zawieszona 3 Łódzka Drużna Harcerska im. Romualda Traugutta powstała w 1916 roku w naszej szkole i była jedyną do czasu, kiedy Koper był męskim gimnazjum. Gdy do szkoły przyszły dziewczyny, to powstała drużyna żeńska.

Nad oboma pieczę sprawował profesor Janusz Boissé. Rekrutował wszystkich. Michał Fajbusiewicz twierdził, że Blady wysłał cały kabaret „Kiełbie we łbie” w kamasze, czyli zapisał do harcerstwa. Doszło do tego, że było coraz więcej drużyn. Kiedy przyszedłem do liceum w 1982 roku było już siedem. Dzisiaj nie ma „trójki” i mojej drużyny numer 9 też nie ma. Nie ma Bladego, nie ma wielkiego harcerstwa w Koperniku. Trochę żal, ale pociesza fakt, że Szczep Traugutta żyje, jest liczny i prężny, choć działa głównie poza swoim matecznikiem, czyli naszym Koprem.

W liceum skończyłem „biolchem” czyli klasę o profilu biologiczno-chemicznym. Jak ktoś chciał zostać lekarzem, to szedł do Jedyнки, do biolchemu. Dziś jest podobnie. Mimo, że Kopernik nie jest tak wysoko w rankingach liceów, jak dawniej, to w profilu biologiczno-chemicznym jest nadal w Łodzi nie do pobicia. Mój syn kontynuuje tamże naukę.

Dostanie się na wydział lekarski nie było zatem problemem. W moim roczniku w pierwszej dziesiątce najlepszych wyników z egzaminu wstępnego były 3 osoby ode mnie z klasy, na około półtora tysiąca kandydatów. Zresztą ja nie miałem czasu na studiowanie. Ja byłem instruktorem Traugutta.

Organizowałem trzy obozy w ciągu roku: stacjonarny latem, wędrowny latem, stacjonarny zimą plus ileś tam rajdów, biwaków, wypadów weekendowych. Kiedy przychodziła sesja, to musiałem zdać egzaminy przed terminem. Nie miałem czasu, więc byłem świetnie zorganizowany. Nie mogłem sobie pozwolić na drugi termin w sierpniu, bo przecież wtedy miałem obóz, a to było najważniejsze.

Dziś jestem przede wszystkim lekarzem, choć formalnie jestem czynnym instruktorem ZHP, ale działam tylko w kręgu instruktorskim. Ostatni obóz zorganizowałem w 2004 roku, czyli 18 lat po maturze.

Harcerstwo i nasza szkoła mnie uformowały. To było najlepsze, co mogło mnie spotkać w tamtym czasie.

Po studiach mamy kolegów z naszego kierunku, a po Koprze mamy kolegów z każdej branży. Moja żona jest z Jedyнки, mój syn uczy się w Jedyńce, u mnie w centrum medycznym ARGO pracuje kilku lekarzy, absolwentów Kopernika, naszym prawnikiem jest absolwent naszej szkoły, wynajmujemy lokal u Piotrka Jakubiaka, też absolwenta Jedyнки. A to dopiero wierzchołek góry lodowej naszych kontaktów. Gdzie możemy to pomagamy naszym absolwentów i korzystamy z pomocy. Korzystamy z ich usług i polecamy je dalej. Nie uważam tego za coś szczególnego. Jadę gdzieś w świat, spotykam naszego absolwenta, zatrzymuję się u niego, on potrzebuje jakiejś pomocy w Łodzi, dzwoni do mnie.

Na studiach w grupie nie miałem nikogo z liceum, ale na zajęciach było wielu lekarzy i asystentów od nas. Jeden z moich kolegów z grupy zapytał, ilu absolwentów kończyło Jedyńkę, skoro ja ciągle spotykam kopernikowców?

Oczywiście tyłu, ilu każde inne liceum, ale my się znamy!!!

Między innymi dlatego przyszedłem do zarządu Stowarzyszenia Wychowanków. Chcemy nadal pomagać szkole, ale chcemy też rozwijać kontakty poziome, między absolwentami. Powinniśmy działać jak korporacja, jak konfraternia, w której nawzajem się poznajemy i sobie pomagamy.

I tak uważam, że absolwenci Kopra, gdziekolwiek bym ich nie spotkał, są związani niewidzialną nicią sentymentu, która pozwala liczyć na siebie wzajemnie.





## Maciej Dunajski – fizyk - matura 1990



Maciek Dunajski z Asią, też z Jedyнки, obecną żoną

Maciej Dunajski: Jestem łodzianinem, absolwentem Kopra.

Ukończyłem fizykę na Politechnice Łódzkiej, a następnie wyjechałem do Wielkiej Brytanii jako stypendysta Fundacji Batorego. W Oxfordzie pozostałem na studiach doktoranckich i osiem lat mieszkałem i pracowałem razem z żoną tamże właśnie, a 2003 roku przenieśliśmy się do Cambridge.

Czasy szkolne były, moim zdaniem, fantastyczne, chociaż nie koniecznie ze względów naukowych. Nie specjalnie przykładałem się do nauki. Miałem znakomite kontakty towarzyskie, przyjacielskie, a z nauczycielami miałem wiele problemu, albo raczej oni ze mną.

Zostałem przez przypadek przewodniczącym klasy, klasy fizycznej pełnej indywidualności, uczniów bardzo zdolnych, ale stwarzających wiele problemów. Nasza klasa miała więcej dwój, niż cała szkoła razem wzięta. Jako przewodniczący musiałem tłumaczyć nasze zachowanie i zacząłem podpadać nauczycielom, najpierw profesorowi Sławomirowi Teledze, a następnie „Spinozie”, profesorowi Mieczysławowi Stańczykowi. Nigdy nie potrafiliśmy się dogadać. Miałem problemy z polskiego i z rosyjskiego. Polskiego uczyła mnie pani profesor Bożena Staniecka, wybitna – moim zdaniem – polonistka. Niestety, profesor Staniecka odeszła, a nowa polonistka wprowadziła system sprawdzania zeszytów. Kiedy nie miałem zeszytu stawiała mi tyle dwój, ile brakowało prac domowych. W efekcie, a było to już w trzeciej klasie, przestałem chodzić na lekcje polskiego. Dwój z polskiego było mniej, ale przybyło niedostatecznych ze sprawowania.

Byłem trudnym uczniem. Na szczęście wyszedłem z tego dzięki profesorowi Januszowi Boisse i dyrektorowi Marianowi Wolniewiczowi.

Podczas jednej z przerw podszedł do mnie „Blady” i powiedział:

*- Dunajski, mówi się o Tobie w pokoju nauczycielskim. Nie dopuszczą Cię do matury. Szkoda mi cię.*

Byłem zaangażowany w naszej drużynie harcerskiej, którą opiekował się „Blady” i naturalnie mnie lubił. Grałem też dużo w brydża sportowego. Zostałem nawet mistrzem Polski, co ogłoszono przez szkolne megafony. Wtedy wezwał mnie do siebie dyrektor Wolniewicz i mi pogratulował. Sam nie grał w brydża, ale był zapalonym szachistą. Skorzystałem z okazji i opowiedziałem mu o moich problemach naukowych. Obiecał pomóc i polecił profesorowi Stańczykowi ponowne przepytanie, żeby mnie dopuścić do matury. I w efekcie maturę zdałem przyzwoicie.

Najbardziej, zaś zawdzięczam szkole to, że tu właśnie poznałem moją przyszłą żonę.

KT – A zamiłowanie do nauk ścisłych?

MD – Bardzo lubiłem matematykę. Uczyłem się rachunku różniczkowego z książek uniwersyteckich już w podstawówce. Fizyki uczyła nas pani profesor Stefania Łakomicka. Uczyła w naszej szkole, a mogła uczyć na najlepszych



uniwersytetach. I wiem, co mówię, bo w życiu spotkałem wielu wybitnych fizyków i matematyków. Była naukowcem i pedagogiem z prawdziwego zdarzenia. W klasie fizycznej wymagała od nas zaawansowanego formalizmu matematycznego. Tego się wymaga w klasie trzeciej, a pani profesor zaznajamiała nas z tym w klasie pierwszej. Uwielbiłem jej lekcje fizyki, ale po pierwszej klasie się opuściłem. Wciągnęły mnie karty, wycieczki po górach i życie towarzyskie.

Na poważnie powróciłem do moich zainteresowań naukowych na studiach. Na Politechnice poznałem profesora Macieja Przanowskiego. Wykładał między innymi mechanikę kwantową. Pod dwóch jego wykładach zrozumiałem, że to jest to właśnie, co chcę robić w życiu. I tak jakoś z dnia na dzień zacząłem się uczyć. To było dla mnie nowe doświadczenie, ale gdzieś pod koniec drugiego roku studiów zrozumiałem ideę edukacji, chęć poznania.

Na piątym roku studiów przeczytałem ogłoszenie o naborze na stypendium Fundacji Batorego. Wystartowałem i zdobyłem owe stypendium w Oxfordzie. Tamże zainteresował się mną Roger Penrose wybitny fizyk matematyczny, matematyk. Autor twierdzeń o osobliwościach czarnych dziur. Geniusz. Profesor zadał mi na początku moich studiów pewien problem i go rozwiązałem. W matematyce dziewięćdziesiąt pięć procent tego, co piszemy łąduje w koszu, ale czasami ma się szczęście i mnie tak się udało ze wspomnianym problemem. Wówczas Penrose wsparł mnie w staraniach o stypendium doktoranckie i je dostałem. Wyjechałem na stałe z Polski w 1995 roku. Moja żona w 1997 skończyła medycynę i przyjechała do Oxfordu i tu się pobraliśmy. Kilka lat mieszkaliśmy i pracowaliśmy w Oxfordzie, aż inny wybitny fizyk Stephen Hawking zaproponował mi przeniesienie się do jego grupy do Cambridge.

KT – Padło tu wiele ścisłych określeń, czy mógłbyś nam, umyślnie mało matematycznym wyjaśnić zrozumiale, czy się, naprawdę zajmujesz?

MD – Moja dziedzina nazywa się fizyka matematyczna.

Z powodów, które nie do końca rozumiemy, teorie opisujące wszechświat, wielki wybuch, czarne dziury, są teoriami matematycznymi. Muszą się zgadzać równania. Jest nie tylko tak, że fizyczne teorie można opisać formalizmem matematycznym. Teorie matematyczne można opisać używając fizyki

teoretycznej! Żeby udowodnić twierdzenia matematyczne, choćby z teorii liczb, choć nie wiemy, dlaczego tak jest, warto odnieść się do formalizmu z fizyki. Zajmuję się udowadnianiem twierdzeń matematycznych, z czystej geometrii różniczkowej używając matematyki czarnych dziur i wielkiego wybuchu. Interesuję się pięknem matematyki, a fizykę stosuję jako narzędzie.

KT – Szczerze powiem, że dla laika to jednak dość skomplikowane. Ale, skoro odnosisz sukcesy to jaka jest recepta na sukces kogoś, kto w liceum na geniusza się nie zapowiadał?

MD – Miałem dużo szczęścia w życiu. Trzeba zawsze mierzyć najwyżej jak można. Jeżeli ma się jakąś pasję, jakąś ulubioną dziedzinę, to trzeba wybrać w niej swój najwyższy szczyt, swój Mont Everest i na niego się wspinać. Większości z nas pewnie nie uda się go zdobyć, ale trzeba próbować. Jeśli nie mamy wysokich celów, to oczywiście nigdy się wysoko nie wespniemy. Sam nie do końca wiem, dlaczego dostałem się do Oxfordu, a następnie do Cambridge, ale dostałem się, ponieważ próbowałem. Nie byłem łatwym uczniem, ale bez wątplenia znakomity wpływ na mnie miała profesor Stefania Łakomicka. Ona wpoila we mnie uczciwość naukową. To bardzo ważne w każdej dziedzinie, a w fizyce szczególnie. Nie wolno dać się ponieść fantazji, spekulacjom, nie głosić tego, co na się wydaje prawdą, a jedynie trzymać się faktów. Opisywać to, co osiągnęliśmy, a nie to, co chcielibyśmy osiągnąć. Pani profesor Łakomicka była w tej materii bezkompromisowa.

KT – Profesor Łukasz Turski, wybitny fizyk i erudyta, twierdził, że matematyka, a także fizyka stanowią podstawę inteligencji.

MD – Zwłaszcza matematyka. To jest logika, niezbędna w życiu, jeśli chcemy unikać błędów. Moi studenci, moi absolwenci po matematyce pracują w różnych dziedzinach, w bankach, w firmach konsultingowych i wydaje mi się, że zatrudniającym ich nie chodzi o to, iż nauczyli się teorii liczb czy innych twierdzeń matematycznych, ale o to, że matematyka uczy selekcji problemów. Istotnym jest, aby umieć oddzielić dziewięćdziesiąt dziewięć nieważnych informacji od tego jednego najbardziej istotnego zagadnienia. Tego uczymy w Cambridge. Żeby coś udowodnić, trzeba dokładnie wiedzieć, co chcemy udowodnić i ja to zrobić krok po kroku. Dlatego matematycy są tak poszukiwani.

KT – Umiejętność selekcji jest szczególnie potrzebna w naszych czasach, kiedy zalewa nas tsunami całkowicie zbędnych informacji?

MD – Tego trzeba się uczyć i nauczyć, żeby z mnóstwa informacji wyłuskać to, co naprawdę liczy. Mam duży szacunek dla filozofii, ale w matematyka i fizyka są na przeciwległym biegunie. Filozofowie, przy całym ich uroku, mówiąc o wszystkim, często mówią o niczym, albowiem nie mają definicji tego, o czym dyskutują. My matematycy, żeby odpowiedzieć na jakieś pytanie zastanawiamy się co dany problem znaczy, jaka jest jego definicja? Wówczas możemy coś o nim powiedzieć. Zwykle przyznajemy uczciwie, że nie potrafimy nic powiedzieć.

Matematyk na wiele pytań odpowie nie wiem, a filozof na każde pytanie wygłosi rozprawę.



Maciej Dunajski z Rogerem Penroseem współpracownikiem i Noblista 2020

## Tomasz Marek Konieczny – śpiewak operowy - matura 1990

Tomasz Konieczny – Zdałem maturę, kiedy miałem 18 lat. Jako 22-latek byłem już magistrem sztuki:-)



Studniówka. Kabaret mojego autorstwa

Krzysztof Turowski: Pani prof. Zewald wspomniała, że pamięta Cię jak grywałeś na gitarze na szkolnych korytarzach, czy to początek Twojej pasji, Twojej kariery?

TK: Na gitarze w szkole i w ogóle podczas mojego harcerskiego epizodu z czasów szkoły podstawowej i potem średniej grałem z pasji do muzyki, ale i z bardzo pragmatycznych względów. Grającymi na gitarze interesowały się dziewczyny. A ja z kolei interesowałem się dziewczynami:-)

Ale tak na poważnie to muzyka była od dzieciństwa bardzo ważna w moim życiu. Rodzice posłali mnie do szkoły muzycznej na fortepian, potem uczyłem się grać na gitarze klasycznej. Ze śpiewem to nie było tak oczywiste, jak mogłoby się zdawać. Raczej dawałem śpiewać innym przy tym moim gitarowym akompaniamencie. Dopiero w klasie maturalnej, przygotowując się pilnie do egzaminu wstępnego do Szkoły Filmowej na Wydział Aktorski zainteresowałem się śpiewem klasycznym i zacząłem uczęszczać na lekcje.

KT - Jak wspominasz szkołę?

TK - Uwielbiałem Błatego - profesora Janusza Boissé. Był zdecydowanie moim GURU. Z ekscytacją wspominam naszą pierwszą polonistkę, panią profesor Bożenę Staniecką. Zwróciła moją uwagę na późniejszy ulubiony przeze mnie wiersz Krzysztofa Kamila Baczyńskiego „Wigilia”. Z ogromnym szacunkiem wspominam panią profesor Olgę Stände oraz panią profesor Stefanię Łakomicką. Zresztą obie te nauczycielki, legendy, jedna matematyczka, druga

od fizyki były tymi, które wskazywały mi przyszłą artystyczną drogę, jaką w ostateczności w życiu podążyłem.

KT: A najlepsi przyjaciele?

TK: Moim szkolnym przyjacielem był Krzyś Rakowski. Przyjaźniłem się, jeśli tak to można określić, z kilkoma ślicznymi koleżankami. Miałem grupę bliskich znajomych z młodszego rocznika. Ja poszedłem do szkoły rok wcześniej i trzymałem z tym, o rok niższym rocznikiem, z Rafałem Piekarskim, Michałem Araszkiwiczem... Połowa szkoły była wtedy w szczepie harcerskim, myśmy razem spędzali mnóstwo czasu. Obozy stacjonarne i wędrownie, Rajdy z Piosenką, wędrówki, kominki. Myśmy żyli prawie jak w jakiejś komunie. Tym, czego uczył nas Blady i co było chyba najważniejsze w tej naszej szkolno-harcerskiej edukacji, to szeroko pojęta tolerancja na drugiego człowieka.

KT: Usłyszałem też, że był moment, kiedy to czarne chmury zebrały się nad Tobą w szkole?

TK: Ze szkoły chciał mnie wyrzucić profesor Stańczyk, mój wychowawca, bo byłem kawał niepokornej cholery, nie chodziłem w ogóle w mundurku, a jak mnie do tego zmuszono zafastrygowałem rękaw tego mundurka na cały łokieć jaskrawym czerwonym kordonkiem. Poza tym byłem działającym w podziemiu opozycyjnym młodym człowiekiem. To były czasy tuż przed i zaraz po przemianach. Tak naprawdę niebezpieczeństwa wyrzucenia ze szkoły nie było, ale rodzice zostali wezwani do dyrektora. Strachu się najadłem:-)



Rozdanie matur

KT: Jakie były początki Twojej kariery operowej i kiedy nastąpił moment przełomowy?

TK: Zaczynałem jako aktor z tak zwanego „wysokiego C“. Grałem Zbyszka Cybulskiego w filmie Andrzeja Wajdy „Pierścionek z Orłem w Koronie“ w cytacie legendarnej sceny ze szklankami z „Popiołu i Diamentu“. Ale życie potoczyło się zgoła inaczej.

Przełomem w mojej karierze wokalne był debiut w Operze Wiedeńskiej (Wiener Staatsoper), od razu w TRZECH kolejnych premierach „Pierścienia Nibelunga“ w roli Albericha. Tak zaczęła się moja międzynarodowa kariera. Od tamtego czasu przez dziewięć lat z rzędu byłem Wotanem Opery Wiedeńskiej, wystąpiłem na wszystkich najważniejszych scenach operowych świata... I pomyśleć, że jako młody człowiek wstydziłem się śpiewać...

Wszystkie największe sukcesy zawodowe w moim życiu są związane z Wagnerem i ze Straussem. Ale chyba tym naj naj... sukcesem i jednocześnie moim zawodowym powołaniem jest Wotan w Tetralogii Ryszarda Wagnera. Ciągłe go szukam. Podążam za tą postacią, traktuję ją, jako kogoś bardzo mi bliskiego. Wotan to moja Pasja i moja wielka Miłość.





KT: Artystom przyszło żyć w piekielnie trudnym okresie pandemii, a Ty robisz wiele, żeby pomóc kolegom.

TK: Środowisku artystycznemu, szczególnie tak zwanym freelancerom bardzo się oberwało w ostatnim czasie dzięki covidowi.

Photo Igor Omulecki\_24.09.2019

Mimo częstej niemożności wykonywania zawodu, który kocham, staram się od początku pandemii działać na wszystkich możliwych frontach by bronić mniej prominentnych kolegów po fachu, organizować nam pracę na przyszłość i manifestować artystyczną obecność

wszędzie tam, gdzie to tylko możliwe.

Dzięki mojemu, między innymi, wstawiennictwu dyrektor Teatru Wielkiego Opery Narodowej, Waldemar Dąbrowski, czy dyrektor Filharmonii Łódzkiej, Tomasz Bęben organizowali swoim bezrobotnym pracownikom koncerty online i wszelkie inne możliwe płatne zajęcia.

Jeśli mam być szczery, to uważam, że na skutek pandemii powoli zbliżamy się do zapaści kulturowej, a moja intuicja każe mi rękami i nogami na zaistniałą sytuację reagować.

Latem 2020 wzięłem na czesko-austriackiej granicy udział w prowizorycznie zorganizowanym przez kolegę Petera Svenssona festiwalu operowym Weinviertel Festspiele. Zaskakującym i budującym był fakt, że w tym mini festiwalu zadeklarowali i wzięli udział najbardziej prominentni artyści wagnerzyści. Nie było żadnej odmowy. Występowałem, jako Latający Holender w betonowym amfiteatrze w Mikulovie przeznaczonym na potrzeby kina letniego pod gołym niebem. To było niezwykle, że publiczność dopisała.

Od lat nie jesteśmy w stanie przywrócić Operze Leśnej w Sopocie jego pierwotnej roli, do jakiej w 1909 roku został zbudowana?

Już 2009, na stulecie Opery Leśnej, brałem udział w próbie reaktywacji festiwalu operowego w Sopocie wykonując popisową rolę Albericha w „Złocie Renu“ Wagnera. Mimo ogromnego zainteresowania i niewątpliwego sukcesu tego wydarzenia, nie pojawiły się kolejne edycje i idea upadła.

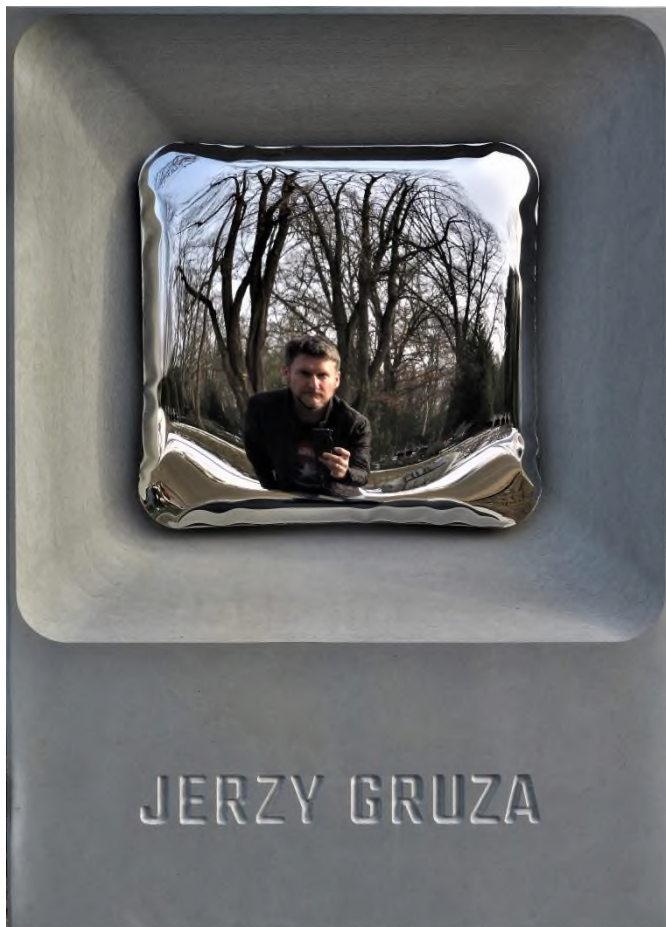
Nadszedł pandemiczny rok 2020 i pomysł reaktywacji festiwalu o ogromnej przedwojennej tradycji oddalił się, ale jestem w ten projekt bardzo zaangażowany. Mam nadzieję, że w końcu wypali.



Photo Igor

Omulecki\_24.09.2019

## Tomasz Skorupa, artysta, architekt – matura 1992



Krzysztof Turowski: Historia Tomka zafascynowała mnie, kiedy dowiedziałem się, że zaprojektował nagrobek dla Jerzego Gruzy na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Jak tu nie spisać takiej historii?

Tomasz Skorupa: W liceum pełniliśmy warty harcerskie przy grobach ważnych postaci na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej. To było coś! Zabytkowa nekropolia pamiętająca czasy Łodzi fabrykanckiej, miasta czterech kultur. Niektóre grobowce, jak Scheiblerów, to kaplice wyglądające jak małe kościoły. Mnóstwo rzeźb, piękne formy, ciekawe czcionki, ręczna robota najlepszych rzemieślników.

Na studiach architektonicznych zastanawiałem się nad sensem projektowania nagrobków. Obmyślałem nawet nagrobek dla siebie. Zafascynował mnie nagrobek Le Corbusiera - prosty, oszczędny, z betonowych brył, taki jak jego cała architektura, Wyraża jego styl. Potem zająłem się większymi kubaturami.

projektowałem budynki, prowadziłem własną pracownię. Po jakimś czasie poczułem się jednak zmęczony formalnościami związanymi z pracą architekta. Więcej czasu spędzałem na załatwianiu biurokratycznych spraw, niż na pracę twórczą.

pamięci, która pasjonowała mnie od dawna, do tworzenia nagrobków i różnego rodzaju rzeźb.

Współczesne cmentarze to produkt popkultury, wypadkowa mody na rynku funeralnym. Cmentarze wyglądają jak blokowiska, gdzie każdy dom jest podobny do drugiego. Są miejsca, gdzie popularne są kryształ, w innych regionach - zdjęcia. W Warszawie modne są czarne granity, to nawiązanie do nowoczesnej architektury, to elegancki kolor. W mniejszych miejscowościach ludzie wolą kolorowy granit, bo wydaje się, że jak jest drogi, to elegancki. A największą ekstrawagancją jest rzeźba anioła z twarzą zmarłego. To jest teraz na topie, a przecież każdy człowiek jest inny, każdy ma swoją własną historię, którą chciałby opowiedzieć, a być może nie zdążył. Staram się zatem projektować takie nagrobki, które coś mówią o ludziach, którzy są pochowani. Staram się jak najwięcej dowiedzieć o danej postaci i dopiero wówczas stworzyć dzieło sztuki przypisane do tej i tylko tej osoby.

W przypadku Jerzego Gruzy było to łatwe, bo napisał kilka książek, nakręcił mnóstwo filmów i zrealizował dużo programów telewizyjnych. Był człowiekiem telewizji. I dlatego wiedziałem, że centralnym elementem jego pomnika musi stać się telewizor. Powstał w postaci lustra z polerowanej blachy. Pokazuje otaczający świat, lekko go wykrzywiając. Zupełnie jak prawdziwa telewizja... Dodatkowym elementem jest klaps filmowy, którym każdy może „strzelić” sobie rozpoczęcie własnego ujęcia.

Nie zawsze jest tak łatwo...

Kiedyś zgłosiła się do mnie matka po nagrobek dla córki, która umarła na raka. Odwiedziła innych kamieniarzy, ale nikt jej nie rozumiał, że ona chce wyrazić swoje dziecko. Opowiadała o córce, pokazywała dużo jej zdjęć. Takich, na których była pełna życia, nawet gdy była chora, to cały czas radosna, ubierała się ładnie, nosiła perły. Zawodowo zajmowała się modą i uwielbiała Coco Chanel. Tak powstał nagrobek z liściem jak z naszyjnika. Inspirowałem się stylistyką Coco Chanel. Stąd połączenie marmuru kararyjskiego z płomieniowaną, czyli matową, impalą. Sama Coco ma grobowiec z takiego marmuru. Z tego powodu listek z biżuterii „perły”, a właściwie kule z

polerowanej blachy stalowej. Odbija się w nich niebo i chmury. A sam naszyjnik zobaczyłem na zdjęciu córki.

KT – Wróćmy jednak do szkolnych wspomnień, bo jak sam stwierdziłeś gdzieś tam był prapoczątek podczas wart na Starym Cmentarzu w Łodzi.

TS – Tak, szkoła tkwi we mnie do dziś. Obracam się wśród przyjaciół ze szkoły. Trzymamy się razem. I oczywiście muszę wspomnieć profesora Janusza Boissé, który był naszym mistrzem, instruktorem, praktycznie trzeci rodzic. Dzięki niemu wynieśliśmy wiele wartości ze szkoły, z harcerstwa i pozostajemy im wierni, że najważniejsza jest przyjaźń, że trzeba być dobrym, porządnym człowiekiem.

Kiedy przyszedłem do szkoły, pan dyrektor Wolniewicz powiedział na apelu, że idealnym uczniem w naszej szkole jest ten, kto jest świetny z dwóch, trzech przedmiotów, a pozostałe zdaje w stopniu zadowalającym. I tego się trzymałem. Byłem dobry z przedmiotów niezbyt typowych dla Jedyńki.

Z początku chciałem projektować samochody, ale potem zainteresowałem się architekturą, dlatego pasjonowałem się zajęciami technicznymi, plastyką i matematyką ze świetnym profesorem Ryszardem Bajorem, a poza tym harcerstwo, harcerstwo i jeszcze raz harcerstwo z 6 WŁDH.

Stąd najważniejszą wartością wyniesioną przeze mnie ze szkoły są kontakty z ludźmi, zupełnie niepowtarzalnymi. No i żonę mam z Kopernika, Joannę Janiszewską.

Jest lekarką i mówi, że gdy spotyka na swojej drodze lekarza, który ma bardzo szczególne podejście do pracy, to z pewnością jest po Jedyńce, to ktoś, kto wnikliwie podchodzi do danego problemu. Szkoła, właśnie nauczyła nas dociekliwości i rzetelności. Tworzyliśmy wyjątkową społeczność. Budowaliśmy, budowałem, jako drużynowy społeczność harcerską, teraz tworzę społeczność biegaczy. Prowadzę stowarzyszenie AGB Torfy. Organizuję wspólne mniejsze i większe imprezy biegowe i czuję się jakbym po raz drugi został drużynowym. Wierzę, że razem możemy więcej. To wyniosłem ze szkoły. Taka szkoła zdarza się raz w życiu.

**Krzysztof Jamroz – biznesmen - matura 1993**





Kopernik był jest z całą pewnością szkołą kultową, nawet deprimującą swoim prestiżem każdego, kto przeszedł przez drzwi wejściowe. Ściany ozdobione dyplomami i medalami zwycięzców olimpiad przedmiotowych. Na pierwszy piętrze, zaś wielki portret Mikołaja Kopernika, symbol intelektu, do którego podchodziłem z dozą podziwu i respektu.

Jedynka była dla mnie prawdziwą szkołą, gdzie dominował wysoki szacunek dla nauki, dla ciężkiej pracy, dla odkryć umysłowych. Niezwykle ciekawe spotkania i przeżycia.



Klasa IVb. Krzysztof Jamroz najwyżej po lewej stronie

Wybrałem to liceum, bo było najlepsze, najtrudniej się było dostać, a całe życie chciałem i wybierałem, to, co najlepsze i najtrudniejsze. Ta chęć siedziała we mnie od zawsze. Jeżeli coś mam mieć, ma to być najlepsze, z możliwych.

Do Kopernika przyszedłem z wynikami ze szkoły podstawowej 5.0 i od razu zostałem przyjęty. Byłem w klasie fizycznej. Uczyło mnie bardzo wielu wybitnych profesorów, pani profesor Wiesława Zewald i profesor Karol Król – chemia, pani profesor Czesława Miazek – język polski, oczywiście Błady z geografii, profesor Henryk Skorek – historia.

Do tej pory mam też relacje z niemal wszystkimi kolegami i koleżankami. Mamy specjalną grupę na Whatsapie i jesteśmy połączeni z całą klasą. To są przyjaźnie na całe życie. Nasza klasa nie była duża, dwadzieścia sześć osób, w tym tylko sześć dziewczyn, najbliżsi ludzie w moim życiu.



Trzeci z prawej w najwyższym rzędzie Krzysztof Jamroz

Ta szkoła łączy uczniów, łączy absolwentów, bo w niej jest specyficzny klimat, szacunek dla historii, dla tradycji, dla umysłu, dla tolerancji. Bardzo mi się podobało, że wszyscy musieliśmy chodzić w mundurkach. Kiedy chodziłem do Jedyńki w Polsce rozkwitał wolny rynek. Pojawiło się wiele atrakcyjnych ciuchów, w przeciwieństwie do minionego okresu, kiedy wszystko tchnęło szarością. Można się było bogacić i manifestować bogactwo, a u nas w szkole nie miało najmniejszego znaczenia, jaki jest twój status, czy jesteś bogaty, czy biedny. Wszyscy byli ubrani tak samo. To, co naprawdę się liczyło, to szacunek dla wyższych wartości, dla zasad, dla nauki, co sobą reprezentujesz.

Takie podejście jest niezwykle ważne w okresie dorastania, kultura i fakt bycia razem. W szkole, w której stawiane są wysokie wymagania, wspomniane postawy bardzo zbliżają i pozostają na całe życie.



Fizyka, to nie było to...

Przez cały czas nauki byłem przedstawicielem w senacie szkoły, ale, co może wydać się dziwne, nie należałem do harcerstwa.

Myśmy się świetnie razem bawili, choć nie było czasu na wielkie szaleństwa. Kopernik był szkołą wymagającą dużo pracy i poświęcenia. Ci, co balowali w innych szkołach, pewnie nie osiągnęli zbyt wiele w życiu. Szkoła średnia to taki

czas, w którym musisz dokonać wyboru, albo chcesz spędzić miło czas, albo inwestujesz w przyszłość.

A po maturze? Dostałem się na wydział organizacji i zarządzania na Politechnice Łódzkiej, a po pierwszym semestrze dostałem stypendium Tempus/Erasmus w Anglii, w Birmingham University, czwartej najlepszej uczelni publicznej w tym kraju. Potem przyszły następne stypendia, a następnie wyjechałem do Kanady na studia MBA i tak to się potoczyło.

Wszystko można osiągnąć mając szacunek dla ciężkiej pracy i wyższych wartości.

Notka o aktywności Krzysztofa Jamroza

Krzysztof jest obecnie prezesem zarządu Roadrunner Transportation Systems, wiodącego dostawcy rozwiązań w zakresie transportu publicznego i łańcucha dostaw. Jest też prezesem zarządu Ascent Global Logistics, amerykańskiego lidera w dziedzinie czarteru doraźnego "ad hoc jet cargo" oraz przyspieszonej logistyki lądowej i lotniczej, czarterowych i pasażerskich linii lotniczych USA Jet, a także krajowego pośrednika i międzynarodowej spedycji.

Do 2020 roku Krzysztof pełnił funkcję dyrektora generalnego i prezesa wykonawczego Emergent Cold, międzynarodowego dostawcy specjalistycznej logistyki. Był również prezesem zarządu CMS Info Systems, spółki z portfela Baring Private Equity Asia piątej co do wielkości firmy świadczącej usługi bankomatowe na świecie.

W 2018 roku Krzysztof został nominowany wspólnie przez Premiera RP i Departament Stanu USA do reprezentowania interesów gospodarczych Polski w Stanach Zjednoczonych, z siedzibą w Waszyngtonie. Pełni również funkcję gubernatora Royal Ontario Museum („ROM”), największego muzeum w Kanadzie, a wcześniej był mianowany przez premiera do Rady Powierniczej ROM. Upzednio był dyrektorem naczelnym w jednej z najbardziej uznanych grup bankowości inwestycyjnej na świecie jako szef JPMorgan w Kanadzie.

Przez całe życie zwolennik edukacji, promowania różnorodności i integracji oraz mentorstwa, był stałym mentorem studentów w Schulich School of Business. Był współzałożycielem i przewodniczącym w United Foundation for the Education of Children („UFFTEC”). W 2013 roku został odznaczony Medalem Ambasadora Biznesu gubernatora Florydy. W 2016 roku Chris został mianowany współprzewodniczącym Komitetu Doradczego Kanady 150 w celu nadzorowania przygotowań do obchodów 150 rocznicy konfederacji. Został przyjęty do Chief Executives Organisation (CEO), ekskluzywnej organizacji zrzeszającej wybitnych liderów. Członkostwo jest dostępne tylko na zaproszenie i jest ograniczone do 2000 osób na całym świecie.



## Piotr Jakubiak – prezes „Dywilanu” - matura 1994



Krzysztof Turowski: Spotykamy się w biurze prezesa fabryki dywanów „Dywilan S.A.” Kontynuujesz dobre tradycje fabrykanckiej Łodzi.

Piotr Jakubiak: Tradycje z całą pewnością, ale czy one są dobre? Większości z dawnych fabryk już nie ma, ale staramy się skutecznie istnieć na rynku i na mapie Łodzi. Oczywiście na miejsce dawnych manufaktur powstały nowe przedsiębiorstwa.

KT: To jak się zostaje fabrykantem?

PJ: Trzeba mieć szczęście czasu, miejsca i rodziny.

KT: W tym przypadku zaczął Twój tata?

PJ: Tak, ale nie z tą fabryką. Ona się pojawiła w naszej rzeczywistości wraz z początkiem mojej aktywności w firmie rodzinnej. I tak ze mną lub przy moim udziale działamy w świecie dywanów od 20 lat.

KT: Czy zatem możemy powtórzyć słynne zdanie z „Ziemi Obiecanej”:

*„Ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic. To akurat tyle, by założyć fabrykę”?*

PJ: Chyba jednak coś trzeba mieć, ale rzeczywiście, podobnie jak w „Ziemi Obiecanej” trzeba mieć zapał i trochę być ślepym na obiektywne realia i robić swoje, choć wydaje się, że to niekoniecznie musi się udać. I nagle nierealne okazuje się realne.

KT: I oto mam przed sobą prezesa, przemysłowca rodem z I LO im. M. Kopernika

PJ: Nasza szkoła, nasze liceum stanowi dla mnie fundament teraźniejszości. Tamże wchodziłem w dorosły wiek i na dokładkę w okresie przemian ustrojowych w Polsce. Szkoła podstawowa była w innym ustroju, w innym czasie i w innym miejscu, a liceum to inna epoka pod każdym względem: towarzyskim, gospodarczym, harcerskim i rodzinnym.

KT: Czyli małżonka, też jest naszą absolwentką?

PJ: Też kończyła Koprę, też działała w harcerstwie, a zatem całe moje życie ukształtowała ta szkoła.

KT: Wspominasz harcerstwo...

PJ: ... i oczywiście profesora Janusza Boissé, który wówczas był już szczepowym, nauczycielem geografii, a nasze codzienne harcerskie życie kręciło się w drużynach, wśród naszych rówieśników. On był naturalnym spoiwem tego życia.

KT: Co ciekawe szkolne życie towarzyskie nie mija wraz z maturą. Kontakty towarzyskie i przyjacielskie trwają. To jednak fenomen, nieprawdą.

PJ: To liceum wychowywało i mam nadzieję wychowuje nadal całe grupy społeczne. Ma bardzo duży wpływ na późniejsze relacje między ludzkie i tworzy coś, co nie zawsze doceniamy, tworzy policealną społeczność spójną, choć



rozproszoną po całym świecie. Trochę, jak różne diaspory będące jednością mimo oddalenia.

KT: Coś na kształt wspólnoty religijnej, wyznawcy tych samych wartości, które dała szkoła?

PJ: Być może, choć ta „religia” Koprza nie jest łatwa i jest wielu absolwentów naszego liceum, dla których pobyt w szkole nie był ani tak fascynujący, ani tak przyjemny, jak dla mnie.

KT: No cóż każda „religia” ma swoich wyznawców i swoich antagonistów. Ale... chciałbym zrozumieć istotę naszej wspólnoty?

PJ: Kopernik miał, od samego początku, to szczęście bycia szkołą, do której garnęli się uczniowie z pewnymi predyspozycjami. Wydaje mi się, że już na wstępie odbywała się swoista, pozytywna selekcja, co powodowało, że ludzie dobrze się czuli razem.

Istnieje obecnie kilka szkół w Łodzi, które reprezentują podobny, jak Jedynka poziom nauczania. Nie mamy, zatem już pozycji dominującej, ale duch historii i dobrej atmosfery między uczniami i między uczniami a nauczycielami się utrzymuje.

KT: Mimo, że zmieniają się i pokolenia uczniów i nauczycieli...

PJ: Dlatego, że ta szkoła ma swoją historię i swoją legendę, która dla większości jest pozytywna i przyciąga i uczniów i nauczycieli. W każdym pokoleniu uczyli nauczyciele nieprzypadkowi, oczywiście może nie wszyscy, ale większość. Oni mieli wolę i charakter, żeby uczyć właśnie w Jedynce.

Dzisiejsi uczniowie, też stwierdzają, że w Koprze dostają coś więcej, niż tylko naukę i wiedzę. Jest klimat i są nauczyciele i wychowawcy na bardzo wysokim poziomie. To są naczynia połączone.

Jeżeli nie zepsuje, tego kolejna reforma nauczania, albo zachcianki tego czy innego ministra czy kuratora, co na szczęście do tej pory się nie udało, to nadal dobre wyniki szkoły będą przyciągały dobrych uczniów i nauczycieli, którzy z kolei będą windowali poziom szkoły.

KT: I pozostaje wiele wspomnień.

PJ – Bardzo wiele, ale może przytoczę jedno. Profesorem fizyki był Krzysztof Przybyszewski, który prowadził również koło matematyczne w MDK (Młodzieżowym Domu Kultury, dzisiejsza YMCA). Uczęszczałem na nie w ostatnich klasach szkoły podstawowej. Kiedy profesor objął nauczanie fizyki po pani profesor Łakomickiej, po kilku miesiącach podszedł do mnie na korytarzu i stwierdził, że czuje się zawiedziony, albowiem – jego zdaniem – wtedy w MDKu byłem bardzo miłym chłopcem, a obecnie nieźle rozrabiam.

Było w tym ziarno prawdy. W pewnym momencie szajba mi odbija. Szkoła, czy też wiek kilkunastolatka wyzwalał wielką energię, nie zawsze poukładaną.

Co ważne, uwagę profesora Przybyszewskiego wziąłem sobie do serca. I serdecznie panu profesorowi dziękuję.

Na pewno też ogromny wpływ na podejście do nauki wywarła na mnie pani profesor Olga Stande. Jeżeli mógłbym, któregoś z moich nauczycieli postawić na piedestale, to z całą pewnością Ją właśnie. Zadziwia mnie do dziś. Oprócz tego, że fantastycznie wykladała, to zaciekawiała nas nie tylko matematyką. Ostatnia lekcja każdego roku, to był pokaz slajdów z różnych krajów, gdzie była i gdzie wykladała.

Pamiętam, kiedy podczas jednego z naszych zjazdów jubileuszowych, wiele lat po maturze podszedłem przywitać się z panią profesor. Ponieważ nie należę do najniższych, a pani profesor do najwyższych, to spojrzała na mnie z dołu i odparła:

*- Dziękuję dobrze, a jak tam produkcja dywanów?*

Ona, która miała tysiące uczniów, pamiętała, że ja mam taką firmę.

KT: Musiałeś utkwic w pamięci.

PJ: Nie byłem wybijającym się uczniem, więc pewnie zapisałem się w pamięci ze względu na wzrost. Wielki szacunek dla pani profesor, że po latach pamiętała swoich wychowanków.

KT: Wybitni nauczyciele tak mają.

PJ: Tak, ale dla mnie najważniejszym wspomnieniem jest harcerstwo, które ma swój wpływ do dzisiaj, które przejęły nasze dzieci.

## Anita Werner - dziennikarka TVN - matura 1996



W moim pierwszym kontakcie z „Koprem” pomógł mi mój Tata, również absolwent tego liceum. Kiedy byłem dzieckiem Tata zabierał mnie na zjazdy absolwentów i bardzo fascynowało mnie to, że tak wiele osób, wywodzących się z jednej szkoły, ma tak fantastyczne relacje po latach. Już wtedy poczułam niesamowitą atmosferę tej szkoły. Grono przyjaciół to zazwyczaj kilka, kilkanaście osób, a mnie wydawało się, że oto widzę ogromną paczkę kumpli, składającą się z kilkuset wychowanków jednego liceum.

Wybierając szkołę średnią, nie miałam więc wątpliwości i poszłam w ślady Taty. Nie przeraziło mnie nawet to, że wówczas w „Koprze” były tylko dwa profile klas: biologiczno-chemiczny i matematyczno-fizyczny. Żaden z nich nie był dla mnie, ale ostatecznie zdecydowałam się na mat-fiz. Fizyka przez całe cztery lata była moją kulą u nogi, ale jakoś ją za sobą ciągnęłam, z ogromną pomocą

profesora Krzysztofa Przybyszewskiego, który miał do mnie anielską cierpliwość.

- Anita zrozumiałaś? – pytał za każdym razem, kiedy tłumaczył coś nowego, patrząc w stronę ostatniej ławki, w której siedziałam.

Jeśli kiwałam potakująco głową, kontynuował lekcję. Niestety w kwestii nauk ścisłych nie wdałam się ani w Dziadka, ani w Tatę, obaj – pracownicy naukowcy Politechniki Łódzkiej, Dziadek był nawet jej rektorem, Tata jest doktorem nauk mechanicznych, całe swoje zawodowe życie był nauczycielem akademickim w Instytucie Pojazdów. Ja niestety z fizyki byłam absolutnym tumanem.

Nie startowałam w olimpiadach, nie należałam do harcerstwa, ale z tej mojej szkolnej codzienności mam bardzo wiele fajnych wspomnień. Z ogromnym sentymentem wspominam moich nauczycieli. Języka polskiego uczyła mnie profesor Liliana Szymańska, cudowna nauczycielka, z niesamowitą osobowością, ekstrawagancką fryzurą i makijażem oraz elektryzującym, niskim głosem. Miałam ten przywilej, że geografii uczył mnie człowiek, który był chodzącą legendą „Kopernika”, profesor Janusz Boisée. Namówił mnie na udział w szkolnym kabarecie, którym się opiekował i rzeczywiście kilka razy wystąpiłam na kabaretowej scenie.

Bardzo miło wspominam również profesora Bogdana Janczara, nauczyciela matematyki, który był także wychowawcą mojej klasy. Fantastyczny kontakt z uczniami miała anglistka, profesor Iwona Pokrzewińska, a także wuefista, profesor Andrzej Graliński. Z ogromną sympatią wspominam także profesora Tadeusza Mrozińskiego, nauczyciela Przynależności Obronnej, który w szkole znany był wszystkim jako „major”.

Nie mogę też nie wymienić Pani Danusi, która spędzając z uczniami czas w szatni i w szkolnej kuchni, była powierniczką sekretów, doradczynią, przyjaciółką, opiekunką naszych smutków i radości.

Dyrektorem szkoły, za moich czasów, była profesor Wiesława Zewald. Jestem jej bardzo wdzięczna, że odpowiedziała pozytywnie na oficjalne pismo z prośbą o miesięczne zwolnienie mnie z lekcji w związku z produkcją filmu „Słodko-gorzki” Władysława Pasikowskiego, w którym miałam zagrać. To było w klasie

maturalnej. Zwolnienie dostałam i w filmie zagrałam. To była główna rola żeńska.

Jak to się stało, że dostałam taką szansę? Pracowałam wtedy jako modelka, występowałam w reklamach, chodziłam na castingi. Podczas jednego z castingów, poznałam Iwonę Wrońską, drugą reżyser filmu. Zaproponowała mi udział w zdjęciach próbnych i... dostałam rolę. To była niesamowita przygoda. Znalazienie się na planie filmowym obok takich sław kina, jak Bogusław Linda, Cezary Pazura, Marek Kondrat, Jadwiga Jankowska-Cieślak, to był prawdziwy dar od losu. Z jednej strony to było fantastyczne przeżycie, z drugiej strony, już wtedy wiedziałam, że aktorstwo nie jest dla mnie, że inni robią to znacznie lepiej ode mnie, więc później dałam sobie z tym spokój.

Po maturze wylądowałam więc nie w Szkole Filmowej, ale na filmoznawstwie, na Uniwersytecie Łódzkim. Uznałam, że tak ogólne, humanistyczne studia będą dobrą bazą. Zanim podjęłam tę decyzję, miałam sto pomysłów na godzinę. W grę wchodziła anglistyka, lingwistyka stosowana, AWF, a nawet wydział mechaniczny na Politechnice Łódzkiej, wzorem mojego Taty i Dziadka, ale tę i poprzednie opcje szczęśliwie porzuciłam.

Jeszcze na studiach zaczęłam pracę w TVN24, choć to nie była moja pierwsza praca dla telewizji. Wcześniej przez pół roku współpracowałam z kanałem sportowym Wizja Sport i to właśnie tam przekonałam się jak wygląda praca w telewizyjnym studiu.

Telewizja TVN 24 powstała w Polsce w 2001 roku. W Gazecie Wyborczej przeczytałam ogłoszenie, że to pierwszy całodobowy kanał informacyjny w Europie Środkowowschodniej i że szukają ludzi. Napisałam CV, dołączyłam zdjęcie, wysłałam i zostałam zaproszona na rozmowę. W 2021 roku mija 20 lat mojej pracy w TVN24, a to prawie połowa mojego całego życia. Dziś mogę śmiało powiedzieć, że w TVN24 znalazłam swoje miejsce, swoją dyscyplinę, że przez te wszystkie lata miałam fantastyczne warunki do tego, żeby się rozwijać. To Mariusz Walter najpierw mi zaufał i dał szansę, później zaufał mi i dał mi szansę Adam Pieczyński. A ja po prostu robiłam wszystko, żeby tego zaufania nie zawieźć i żeby te szanse dobrze wykorzystać. Znalazłam się we właściwym miejscu, we właściwym czasie i w otoczeniu właściwych ludzi. Na korytarzach, na wyciągnięcie ręki miałam najlepszych dziennikarzy w Polsce i to od nich

mogłam się uczyć. To był niesamowity przywilej i to wciąż jest niesamowity przywilej móc z nimi do dziś pracować. Mój cały zawodowy czas to są cudowne lata w TVN 24 i w Faktach TVN.

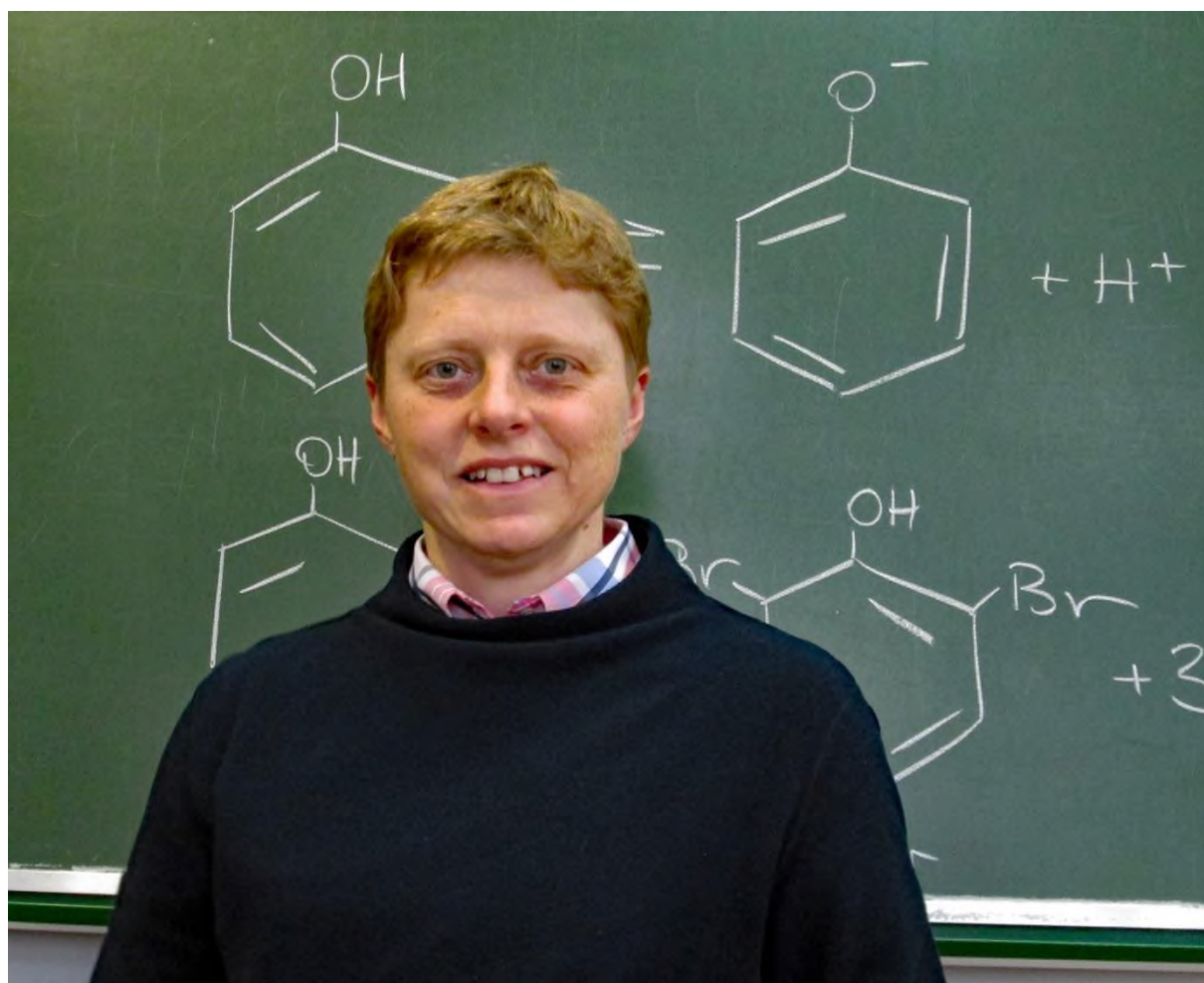
Czym jest dla mnie sukces? Dla mnie sukces to frajda z tego, co się robi, z tego, że można być dumnym ze swojej pracy, że widać efekty tej pracy. Moim studentom na Uniwersytecie Warszawskim przypominam regularnie o mojej zasadzie „3 x P” - pasja, pracowitość, pokora. Trzeba mieć w sobie pasję, ciężko pracować i z pokorą przyjmować nauki od lepszych. Nie bać się pytać i umieć słuchać.

Do wszystkiego doszłam sama, swoją pracą, ale też wielu ludzi w życiu mi zaufało. Począwszy od moich rodziców w domu, przez nauczycieli w szkole, po moich szefów i współpracowników w pracy. Tym wszystkim, którzy obdarzyli mnie zaufaniem, jestem bardzo, ale to bardzo wdzięczna.





## Justyna Staluszka, nauczycielka – matura 1996



Justyna Staluszka: Szkołę wspominam, przede wszystkim, jako lata bardzo sympatycznych i głębokich przyjaźni. Bardzo dobrze wspominam lekcje chemii i matematyki, ale przede wszystkim niebywałą atmosferę. Wysoko ceniono uczniów, którzy coś wiedzą, potrafią więcej i chcą w pewnym sensie tę szkołę tworzyć, uczestnicząc w kołach przedmiotowych, w harcerstwie... To mi imponowało.

Koło chemiczne i harcerstwo były bardzo rozwinięte. Większość mojej klasy była w harcerstwie, a ja w wyżej wspomnianym kole. Trudno było oba zainteresowania pogodzić, bo każde z nich wymagało dużo czasu i zaangażowania.

Życie w szkole płynęło bardzo barwnie i intensywnie – zarówno pod względem towarzyskim, jak i naukowym. Dlatego chętnie wracamy w rozmowach ze szkolnymi znajomymi do wspomnień sprzed lat. A z kolei atmosfera naukowa zadecydowała o tym, że pracuję dziś w naszej szkole.

To, że zajęłam się chemią jest zasługą moich nauczycieli, profesora Karola Króla i pani profesor Wiesławy Zewald, ale także środowiska szkolnych chemików, które okazało się niezwykle wciągające i prężne.

Profesor Król prowadził analityczne koło doświadczalne dla uczniów klas pierwszych i piątkowe koło dla olimpijczyków. To trwa do dzisiaj. Spotykamy się w każdy piątek o piętnastej. Prowadzę to koło razem z Maćkiem Sienkiewiczem, który także uczy chemii w naszym liceum, a jednocześnie jest absolwentem szkoły. Natomiast koło analityczne zmieniło jedynie dzień spotkań. Kiedyś odbywało się w czwartki, a obecnie we wtorki. Każdy absolwent, niezależnie, z którego rocznika wie, że jeśli chce się spotkać z członkami koła lub nami nauczycielami, to może przyjść we wtorek lub w piątek o piętnastej.

Sama też byłam olimpijczykiem z chemii i trzykrotnie doszłam do ogólnopolskiego finału olimpiady, a raz dostałam wyróżnienie. W tym czasie olimpijczyków z Jedynek było sporo, więc moje osiągnięcia nie są w obrazie całości tak imponujące.

Z czasu, w którym uczę, wspólnie z panią profesorem Stanisławą Hejwowską i Maćkiem Sienkiewiczem, doczekaliśmy się już kilkudziesięciu finalistów i laureatów olimpiady.

Nasi „chemiczni” absolwenci zostają najczęściej lekarzami, a nieliczni chemikami. Ponieważ wychodzą ze szkoły z tak fantastyczną wiedzą i umiejętnościami chemicznymi, to czasami aż żal, że zostają lekarzami, bo część tej „chemicznej” wiedzy się marnuje. Chociaż wyniesione z lekcji logiczne myślenie z pewnością przydaje się na każdym kierunku studiów.

Moja definicja dobrego ucznia: musi wiedzieć, po co przyszedł do Jedynek, bo poziom i wymagania są wysokie, musi być myślący i chcący sporo pracować, nie przyjmować wszystkiego bezkrytycznie bez względu na przedmiot i wreszcie musi umieć wybrać, co dla niego jest ważne i najważniejsze, a nie koniecznie błyszczeć na każdej lekcji. Bycie prymusem u nas bywa bardzo trudne, żeby nie

powiedzieć niewykonalne. Ilość materiału jest tak duża, że nie da się świetnie wszystkiego opanować.

Nauczanie chemii musi opierać się na doświadczeniach – bez aspektu praktycznego ten przedmiot jest martwy. Doświadczenia nadają mu barw i czynią naukę ciekawszą. Im częściej uczniowie wykonują eksperymenty samodzielnie, tym lepiej, bo łatwiej zapamiętują, co później procentuje.

W klasach, gdzie chemia nie jest wiodącą, wymagam od uczniów, żeby coś umieli, ale nie oczekuję Bóg wie ile. Mnie wystarczy, by uczeń miał wiedzę na poziomie podstawowym, a rozwijał inne swoje pasje!

## Anna Sarna – aktorka - matura 1996



foto: Magda HUECKEL

Anna Sarna: Nasza szkoła ukształtowała mnie.

Nie jestem umysłem ścisłym, a dostałam się do klasy matematyczno-fizycznej i cierpiałam bardzo podobnie jak kilka moich koleżanek, które też kończyły później studia humanistyczne. Fizykę mieliśmy z panią profesor Hanną Szyburską i to była dla mnie droga przez mękę. Matematykę lubiłam, ale fizyki ani w ząb.

Trochę się męczyłam w tej szkole, ale dzięki temu mogłam uciekać w mój świat. I jakże wiele zawdzięczam mojej polonistce pani Halinie Flejszman, która bardzo często zadawała nam rozmaite wypracowania i pozwalała na dużą dowolność, co było w zgodzie z moimi talentami twórczymi. Czasami nie wierzyła nawet, że sama napisałam wypracowanie.

Byłam zamknięta w sobie, ale w 3 klasie zaczęłam startować w konkursach recytatorskich i tak się zaczęła moja nowa droga.

Przyszłam do Kopra z podstawówki w Andrzejowie. To nie była szkoła na wysokim poziomie i wszyscy patrzyli na mnie, jak na nienormalną, że śmiem startować do Kopernika. Jednakże moje ambicje wzięły górę, zwłaszcza, że nawet chciałam zostać lekarzem, ale... skończyło się inaczej.

KT: Wspominasz męki z naukami ścisłymi, a ja dowiedziałem się, że miałaś 5 z chemii?

AS: Nie, chyba 4?

KT: Pani profesor Zewald twierdzi, że piątkę.

AS: Możliwe, ale opłaconą katorżniczą pracą. Inni koledzy przedmioty ścisłe mieli w małym palcu, a ja musiałam mocno wkuwać, dużo pracować. Nauczyłam się solidnej pracy i dlatego twierdzę, że mnie ta szkoła uformowała.

KT: A poza tym?

AS: Poza tym gitara, piosenka, układałam piosenki. Nasz nieodżałowanej pamięci wychowawca, profesor Mieczysław Stańczyk pozwalał nam na organizowanie tak zwanych „Kinder bali”. W dużej sali urządzaliśmy dyskotekę. Tyle tylko, że to były spotkania przy gitarze i z piosenką. Maciek Loba, Robert Warsza, bardzo twórcze postacie z naszej klasy nieco szalonych ludzi.

Poza tym 9 drużyna harcerska...

KT: Wspomniałaś profesora Stańczyka...

AS: Bardzo ciepłutko go wspominam. Była bardzo wymagający, ale miał w sobie dużo mądrości, akceptacji dla nas. Chociaż wprowadzał pewne rygory... dziewczyny nie mogły się malować, nie mogły farbować włosów, ale sądzę, że to dobrze, bo nie rozstroiliśmy się zbyt szybko.

Chyba... w Koprze nie ma ludzi przypadkowych. Każdemu na czymś zależy, szukają czegoś więcej. Zbiór takich osobowości tworzy tygiel umysłów, zamiłowań, pasji.

KT: I po klasie matematyczno-fizycznej, mimo wszystko, wylądowałaś w łódzkiej szkole teatralnej?

AS: Zawsze miałam skłonności aktorskie, twórcze. Już w czwartej klasie szkoły podstawowej wymyśliłam sobie przedstawienie teatralne, dokonałam obsady, ale... niestety nie doszło do skutku, ale brałam też udział w konkursach recytatorskich. Na jednym z nich profesor Aleksander Benczak zachęcił mnie abym zdawała do Filmówki. Potem moim opiekunem na roku został starszy kolega z Kopra Marek Niemierowski. Historię dramatu wykładał Kazimierz Lewkowski, też absolwent naszego liceum, długoletni dyrektor literacki Teatru Powszechnego w Łodzi.

KT: Ciekawe, że w szkole gdzie dominowały profile nauk ścisłych kwitło tak bogate życie kulturalne.

AS: I niebanalne, subtelne. Słuchaliśmy Kabaretu Starszych Panów, Leonarda Cohena, spotykaliśmy się przy gitarze, w niesamowitej twórczej atmosferze.

W naszej 9 drużynie harcerskiej, chyba Przemek Lipiński (Molu) wymyślił, że wystawimy „Śluby panieńskie” Aleksandra Fredry. Miałam rolę Anieli. Do premiery, o ile pamiętam nie doszło, ale próbowaliśmy dzielnie. I kiedy podczas fuksówki w szkole teatralnej graliśmy sceny marzeń, to nie musiałam niczego wymyślać. Rola Anieli była gotowa.

KT: Co uznajesz za twoje największe osiągnięcie?

AS: Moją rodzinę, dwójka dzieci i mąż od jedenastu lat. Sukcesem jest też, że wbrew rodzicom, wbrew opinii pana profesora Stańczyka, który powiedział - *Dzuinia, czyś ty na głowę upadała* – kiedy dowiedział się, że chcę zdawać do szkoły aktorskiej, ale...

Poszłam za moimi marzeniami i mam pracę, którą kocham, czy to na scenie, czy w pracy ze studentami. Nie miałam parcia, żeby robić karierę gwiazdy filmowej. Wolę pracę w szkole, bo muszę dużo czytać i mogę się rozwijać, jako człowiek. A na scenie... to praca na rolami w sztukach Czechowa w Teatrze imienia Stefana Jaracza w Łodzi. Zaczynałam w „Wujaszku Wani”, dwa lata temu miałam premierę „Trzech sióstr”, gdzie grałam razem z Piotrem Krukowskim też absolwentem Jedyńki.



Spotkanie z Czechowem to zawsze jest święto, które pozwala uporządkować świat. Czechow patrzy z czułością na swoich bohaterów i każe zadawać sobie egzystencjalne pytania – po co żyjemy?

Ale... kończąc... myślę, że gdybym nie trafiła do Kopernika, nie byłabym tym, kim jestem. Godziny spędzone na matematyką, nad fizyką mocno mnie zahartowały. Nauczyłam się pracy nad sobą. Jak się zavezmę, to dopnę swego. To profituje teraz na scenie.



Ania Sarna.3S.jpeg.heic

## Wiktor Wojciechowski – ekonomista – matura 1996



Koper to bez wątpienia fenomen. Postępując się współczesnym językiem, powiedzielibyśmy, że to „układ”, z którego możemy być dumni. To przecież nie tylko cztery cudowne lata, kiedy byliśmy uczniami tej szkoły, ale także – a może przede wszystkim - trwające do dziś przyjaźnie. Absolwenci Kopra tworzą unikalną społeczność, przyciągamy się jak magnes, potrafimy znaleźć wspólny język, nawet jeśli dzieli nas różnica kilku pokoleń. Ile razy w dorosłym życiu mieliśmy taką sytuację, że spotykając kogoś, kto okazał się absolwentem Kopra, natychmiast zaczęliśmy rozmawiać z nim tak, jakbyśmy znali się od lat. Hasło „Koper” działa jak wytrych, który otwiera wiele drzwi, bo jest symbolem rzetelności i zaufania.

Dla mnie źródłem fenomenu Kopra są ludzie, których tutaj spotkaliśmy - zarówno nauczyciele, jak i uczniowie. To byli ludzie otwarci, ambitni,

inteligentni, dowcipni, ze zdrowym dystansem do siebie i rzeczywistości, ciekawi świata. Dla mnie przebywanie w takim doborowym towarzystwie było zaszczytem. Wielu nauczycieli to prawdziwe legendy, jak na przykład profesorowie Karol Król, Mieczysław Stańczyk czy Olga Stande. Osobą, która bez wątpienia miała wyjątkowo silny wpływ na stworzenie fenomenu Kopra był Błady, czyli profesor Janusz Boissé, komendant szczepu im. Romualda Traugutta.

Za moich czasów w szkole pręźnie działało siedem drużyn harcerskich, każda liczyła około 30 osób, co stanowiło prawie połowę wszystkich uczniów. Dzięki Błademu i jego pasji, Kopra utożsamiam z harcerstwem. To w zasadzie było całe nasze życie, na nic innego nie mieliśmy czasu. Ja byłem w 9 ŁDH, cały czas gdzieś wyjeżdżaliśmy. Oprócz letniego obozu w Strużnicy, obozu wędrownego i zimowisk, w ciągu roku mieliśmy jeszcze co najmniej osiem innych wyjazdów. Często na rajd wyruszaliśmy już w piątek po lekcjach, a zdarzało się, że wracaliśmy w poniedziałek rano i prosto z dworca szliśmy do szkoły. Nauczyciele to rozumieli i dlatego obowiązywała zasada, że - nie licząc wcześniej zapowiedzianych klasówek – harcerze wracający z rajdów nie byli pytani i nie pisali kartkówek. Liczne wyjazdy wymagały od nas dyscypliny, bo mimo wszystko trzeba było znaleźć czas na naukę, na odrobienie lekcji. W Koprze nauczyliśmy się wykorzystywać każdą wolną chwilę, aby wycisnąć z życia tyle, ile się da. Ta zdolność procentuje mi do dzisiaj.

Kopernik to dla mnie koleżanki i koledzy, z których każdy miał jakąś pasję, był wyjątkowy. Tu nie było miejsca na miernotę. Mimo dużego zaangażowania w harcerstwo, wielu uczniów osiągało sukcesy w olimpiadach. Bylejakość była i jest dla nas nudna. I to dlatego absolwenci Kopra robią pasjonujące rzeczy, są ciekawi świata, potrafią przełamywać schematy. Najważniejsze jednak, że robią to patrząc na innych, bo w Koprze nigdy nie było wyścigu szczurów, tylko współpraca i wzajemny szacunek.

## Katarzyna Ulańska - fotograf – matura 1996



Kasia Ulańska i prof. Mieczysław Stańczyk

Katarzyna Ulańska: Fajnie jest wracać pamięcią do tamtych czasów. Naszym wychowawcą był pan profesor Mieczysław Stańczyk.

Mieszkałam dosłownie naprzeciwko szkoły. Zazwyczaj wybiegałam z domu, gdy usłyszałam dzwonek na lekcje i... najczęściej się spóźniałam. Zresztą często na długiej przerwie całe grono kolegów przychodziło do mnie i robiliśmy drugie śniadanie.

KT: Skąd Twoje zainteresowanie fotografią?

KU: Te zainteresowania zrodziły się jeszcze w podstawówce. W liceum już byłam klasowym fotografem i nadzorowałam wydawanie klasowej gazetki „Hej”. Na zakończenie szkoły, razem z Gosią Bocian zrobiłyśmy Album Maturalny. Później przez kilka lat robiłam takie albumy dla kolejnych roczników.

Po maturze chciałam pójść do Szkoły Filmowej, ale rodzice uważali, że fotografia to fajne hobby, ale nie poważna praca. Skończyłam, więc Stosunki Międzynarodowe na Uniwersytecie Łódzkim i Europeistykę w Instytucie Europejskim. Po trzech miesiącach pracy biurowej, stwierdziłam, że to nie dla mnie i poszłam do Wyższej Szkoły Sztuki i Projektowania na Fotografię. Odnalazłam swoje przeznaczenie i szczęśliwie zostałam w tym zawodzie.

KT: Wracając do szkoły...

KU: Było wiele przygód... Kiedyś dostałam bardzo kiepską ocenę z fizyki, a mój tata jest fizykiem. Justyna Staluszka, która była najlepszą uczennicą stwierdziła, że zadanie wykonałam dobrze, tylko inną metodą. Mój tata to potwierdził. Poszedł do szkoły i w rezultacie pani profesor Hanna Szyburska wezwała mnie do siebie:

- *Twój tata jest fizykiem? – spytała*

- *Yyyyyyyyy.... tak.*

- *To widzę, że odziedziczyłaś talenty po ojcu...*

- *???* (tutaj muszę wyjaśnić, że niestety nie miałam najlepszych ocen)

- *Ale są GŁĘBOKO UKRYTE!*

Stopień ze sprawdzianu mi zmieniła, ale byłam na przegranej pozycji.



Z Asią Blewąską, moją przyjaciółką, siedziałyśmy w jednej ławce i nie stroniłyśmy od wygłupów. Kiedyś na matematyce u pani profesor Danuty Baranowicz zaczęłyśmy razem z ławką wychodzić z klasy. Ponieważ siedziałyśmy w ostatnim rzędzie, to powoli przesuwaliśmy ławkę najpierw w przerwę między rzędami, a następnie do przodu. W połowie klasy, pani profesor ze zdziwieniem się zorientowała, że coś jest nie tak.

Mieliśmy bardzo zgraną klasę i dużo czasu spędzaliśmy razem. Nasze imprezy były zawsze wesole, z pomysłem. Przebieraliśmy się, organizowaliśmy różne akcje. Niewątpliwym liderem na tym polu był Maciek Loba. Z wieloma osobami mam bardzo bliski kontakt do dzisiaj.





stoją od lewej: Maciek Loba, Kasia Ułańska, Robert Warsza    siedzą od lewej: Asia Blewaska, Kasia Więcek, Gosia Bocian

No i profesorowie. Ze Stańczykiem się trochę spierałam, ale kto się czubi ten się lubi. Lubiłam panią dyrektor Wiesławę Zewald, panią profesor Danutę Baranowicz, bardzo ciepłą pedagog. Byli i tacy, którzy zostawili inne wspomnienia, jak pani profesor Hanna Szyburska (tzw. Szyba), czy pani profesor Małgorzata Tomtała od biologii. Zawsze przed tymi lekcjami mocno się stresowałam.

Z matematyką wiąże się nasza maturalna przygoda. Z matmy byłam bardzo dobrze przygotowana i umówiliśmy się, że jak rozwiążę zadania, przepiszę je na brudnopis, pójdę do toalety i zostawię w umówionym miejscu. Tak też zrobiłam. Ustaliliśmy, że każdy spisuje rozwiązanie i zostawia kartkę dla pozostałych. Jak wróciłam to podniósł się las rąk do toalety. Pierwszy poszedł kolega, który nie był wtajemniczony w naszą umowę. A każda następna osoba, która wracała z toalety, patrzyła na mnie z rozczarowaniem. Nie wiedziałam, o co chodzi. Skończyłam pisać i wyszłam. Za mną wyszedł kolega, który po mnie udał się do toalety. Pytam go jak mu poszło

- *Słuchaj – odpart – nie miałem pojęcia jak rozwiązać te zadania, ale wyobraź sobie, że w toalecie znalazłem kartkę z rozwiązaniami.*

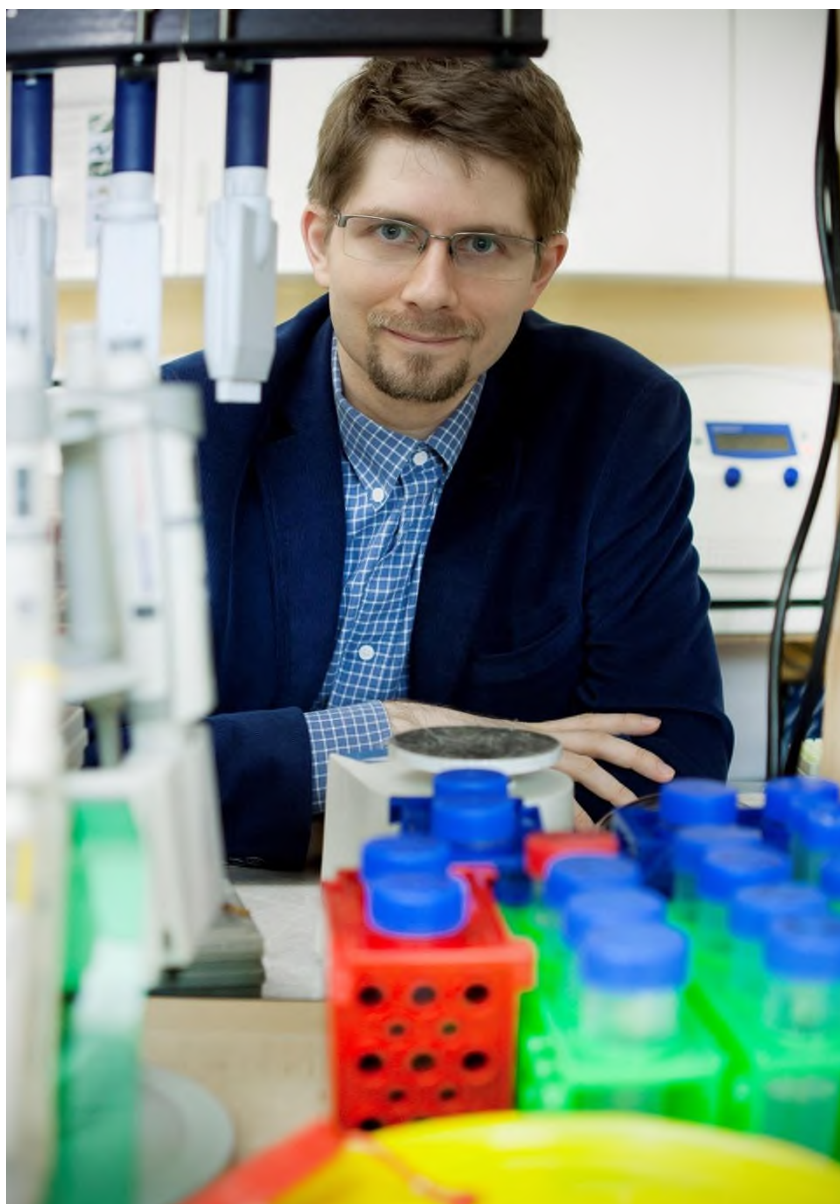
- *I co spisałeś?*

- *Nie, nie było czasu, zabrałem ją.*

I nagle wszystko stało się jasne... Na szczęście wszyscy zdali.

To były dobre czasy. Zostało wiele wspaniałych wspomnień i przyjaźni.

## Wojciech Fendler, profesor medycyny - matura 2001



Wojciech Fendler: Skończyłem studia medyczne na Uniwersytecie Medycznym w Łodzi i prowadzę badania zarówno z diabetologii jak i z onkologii. W dziedzinie onkologii pracuję wraz z zespołem nad wczesnym wykrywaniem raka jajnika i raka trzustki. W przypadku cukrzycy poszukujemy nowych metod leczenia rzadkich, genetycznie uwarunkowanych typów tej choroby.

KT: Profesorem zostałeś w wieku 38 lat. Jakie warunki trzeba spełniać, żeby zostać naukowcem w tak młodym wieku?

WF: Trzeba mieć szczęście do mentorów, trafić na właściwy czas we właściwym miejscu i mieć otwartą głowę na wszelkie niszowe, ciekawe pomysły, których inni nie rozwiązują, bo się wydają zbyt trudne lub pozornie nieoczywiste, ale są bardzo istotne. Ale przede wszystkim trzeba mieć trochę szczęścia i temu szczęściu pomagać, czyli maksymalnie wykorzystywać okazje, które się pojawiają.

KT: Wykorzystywanie okazji, to jedna strona medalu, ale jeśli się kończy studia jako Primus Inter Pares, to chyba trzeba jeszcze solidnie popracować?

WF: Studia medyczne nie sprawiały mi specjalnego kłopotu, ale poza studiami przygotowywałem różne prace naukowe, popularyzujące badania medyczne i wystąpienia na konferencjach. To wszystko razem zagrało. Co jednak najważniejsze od początku trafiłem na szefów, którzy umożliwiali mi badania i rozwój naukowy w dziedzinach coraz bardziej potrzebnych o obecnych czasach.

Obecnie staram się w podobny sposób przekazywać wiedzę i możliwości studentom i doktorantom.

I tu ukłon w stronę moich mentorów. Pierwszym był profesor Andrzej Piotrowski wówczas szef Oddziału Intensywnej Opieki Medycznej w szpitalu pediatrycznym na Spornej, profesor anestezjologii i intensywnej terapii, specjalista w dziedzinie anestezjologii i intensywnej terapii oraz neonatologii, a potem profesor Wojciech Młynarski, promotor mojego doktoratu „Rola zaburzeń struktury i funkcji genu insuliny w patogenezie i przebiegu klinicznym cukrzycy”, a po habilitacji moim opiekunem badań w Dana-Farber Cancer Institute przy Harvard Medical School jest profesor Dipanjan Chowdhury. Dzięki współpracy z nim i jego wsparciu od 2017 r. jestem profesorem wizytującym w tej wybitnej jednostce naukowej i wspólnie realizujemy liczne ciekawe projekty dotyczące radioterapii i diagnostyki nowotworów. Ta trójka była dla mnie najważniejsza. Profesor Piotrowski pokazał mi, na co należy zwracać uwagę i ustrukturyzował moją wiedzę medyczną, profesor Młynarski przekonał, że te badania można robić na bardzo wysokim poziomie nawet w Polsce i pokazał, jak znajdować dobre niszowe pomysły, a Dipanjan Chowdhury stworzył mi warunki niezależności naukowej i pokazał jak współpracować robiąc badania z naukowcami całego świata w tym w Londynie, San Francisco

czy Chicago. Obecnie brakuje mi nowego mentora z nowymi pomysłami, ale wierzę, że, ktoś się niebawem pojawi.

KT: Ale pierwsi mentorzy byli już w szkole średniej

WF: Najważniejsze, co daje Jedyńka to możliwość skoncentrowania się na tym, co chce się robić, a nie konieczność gonienia za ocenami ze wszystkich przedmiotów. Mogłem spokojnie dochodzić do wniosku, do czego ja się właściwie nadaję. Dlatego też w czwartej klasie stwierdziłem, że idę na medycynę, bo moje wyniki i chemii oraz podejście do tych przedmiotów dawało nadzieję, że to nie jest zły pomysł. Nie marzyłem o medycynie od dziecka. Szkoła pozwoliła mi dojrzeć do konkretnego pomysłu. Mój wychowawca, profesor Sławomir Telega pozwalał zająć się sobą i tym, co mnie interesuje. Byliśmy traktowani jak dorośli, mimo że dorosłymi jeszcze nie byliśmy.

Co prawda moi profesorowie byli nieco tą decyzją zaskoczeni i ja też, a szczególnie kiedy okazało się, że egzamin wstępny poszedł mi zupełnie dobrze.

Jednym słowem Kopernik, to było dobre miejsce, by dojrzeć!

## Bartek Sabela, dziennikarz, reporter – matura 2001



foto: Adam Kozak.

Bartek Sabela: Niezbyt często wracam wspomnieniami do czasów liceum, ale pamiętam, że było ono niesamowitym oddechem po czasach szkoły podstawowej. Mieszkałem, bowiem na starych Bałutach i chodziłem do szkoły nr 81, która teraz jest uznawana za jedną z najlepszych w kraju, ale wówczas trzeba było szybko biegać i mieć oczy dookoła głowy, bo bijatki były na porządku dziennym. Podstawówka to była szkoła przetrwania, w Jedynce zaś wkroczyłem w zupełnie inny świat. Błyskawicznie z wieloma osobami znalazłem wspólny język. To była wielka ulga i radość.

Do tej szkoły szli fajni ludzie, z pasjami, z ambicjami, z pazurem. Mimo, że pochodziliśmy z różnych światów, to znajdowaliśmy wspólny język na korytarzach Kopra. Zresztą, wiele przyjaźni przetrwało do dziś.



No i słynne mundurki. Z jednej strony nie bardzo je lubiliśmy, bo nie były najładniejsze, ale z drugiej strony czuliśmy wewnętrzną dumę, że jesteśmy ze szkoły, która jest najlepsza w kraju.

A moi profesorowie? Oj, długo by wymieniać... choćby pani profesor Beata Zawisza od francuskiego, dzięki której dobrze władam tym językiem, świetny pan profesor, pseudonim Gucio od fizyki (mimo, że fizyka nie była moją pasją), lub geografia z profesorem Janem Kamińskim, późniejszym dyrektorem I LO. Nie, nie z profesorem Boissé. Ja za nim nie przepadałem, Ponad połowa szkoły była w harcerstwie, a mnie to kompletnie nie kręciło. Może, dlatego, że poświęciłem się mojej pasji, czyli wspinaczce sportowej.

A wychowawcą naszym był nasz profesor historii Sławomir Telega. Jak on sobie dawał z nami radę??? I wreszcie z biologii pani profesor Małgorzata Tomtała. Jakże ona nas gnębiła... potrafiła wsadzić trzy pały pod rząd. To była ciekawa gra, my ją bardzo lubiliśmy, ona nas lubiła, ale czasami jej dogryzaliśmy, a ona nam odplącała niskimi notami. Niemniej, na biologię czekało się z dreszczykiem emocji.

Ah i te licealne imprezy! W okolicy szkoły nie brakowało barów, często nieco podrzędnych, do Piotrkowskiej było niedaleko, to wszystko jakoś naturalnie zachęcało do wagarowania.

Najlepsze w Jedyńce było jednak to, że ceniono pasję. Nikt nie wymagał, żeby być dobrym we wszystkich przedmiotach. natomiast bardzo cenione było, jeśli w czymś się wybijałeś i nawet nie koniecznie to musiał być któryś z przedmiotów. Ewidentnie profesorowie przymykali oczy na słabsze wyniki z tego czy innego przedmiotu. Byłem, na przykład dobry we francuskim i angielskim, co dawało mi duży kredyt zaufania. To było wspaniałe.

Zdecydowałem, że pójdę na architekturę do Warszawy, mimo, że byłem noga z matematyki, u pani profesor Ewy Wojciechowskiej, ale zawsze lubiłem rysować.

Długo jednak, nie byłem architektem, Na studiach było fajnie... projektowanie, tworzenie przestrzeni, czuliśmy się artystami. Jednak praca w tym zawodzie to zupełnie co innego – twórczość stanowi jej niewielki procent. I przypadek zdecydował, że zmieniłem zawód. Wybrałem się w trzytygodniową podróż do Uzbekistanu, aby pobujać się po świecie i dojechać do brzegów znikającego Morza Aralskiego. Przewiozłem mnóstwo zdjęć i pokazałem je na festiwalu Trzy Żywioty. W efekcie otrzymałem propozycję wydania książki. I od tych pierwszych pieśczęt z pisaniem zaczął się nowy zawód: reporter.

Przez ostatnie osiem lat napisałem trzy reportaże książkowe i kilkadziesiąt tekstów i reportaży do gazet i magazynów. Niektóre z nich dostały nagrody i nominacje, niektóre trafiały na okładki, po innych dostawałem wezwania do sądu lub groźby. Słucham, pytam, nagrywam, spisuję, redaguję, szperam, dobrze umiem mówić i pisać po polsku.

Jeżdżę. Od 2012 wykonałem kilkanaście podróży po rejonach Afryki i Azji. Część z nich to były wyjazdy reporterskie, mniej lub bardziej dziwne. Zatem ogarniam, improwizuję, czasami, gdy trzeba nieźle aktorzę, dogadam się z każdym i wszędzie, gdy trzeba to nawet na posterunku policji w nieciekawym arabskim mieście lub w biurze wywiadu cywilnego pośrodku kongijskiej dżungli. Ale prowadziłem również wyprawy jako pilot. Więc opowiadam, zaciekawiam, animuję, opiekuję się, prowadzę, odpowiedzialny jestem i problemy rozwiązuję. Rozmawiam super po angielsku, dobrze po francusku, po hiszpańsku też się dogadam.

Fotografuję. Do każdego mojego reportażu robiłem zdjęcia, także w miejscach, w których nie było wolno. Mam szybkie oko, kadruję, komponuję, edytuję, ubieram w barwy, światło, klimat i emocje. Lubię gadać do ludzi.

Bez wątplenia jakąś część tego, kim jestem i jaki jestem zawdzięczam licealnym latom w Koperniku. To była świetna przygoda!

**Aleksandra Chećko-Jelonek – informatyk - matura 2006**



Aleksandra Chećko: Dzisiaj w mojej pracy zajmuję się sieciami komórkowymi 5G, a już przechodzimy do sieci 6G. Z wykształcenia jestem inżynierem po

Politechnice Łódzkiej. Zrobiłam również doktorat na politechnice w Kopenhadze. A w praktyce zajmuję się zagadnieniami z pogranicza inżynierii, zarządzania, innowacji i nauki.

A nasza szkoła? Wspominam ją, jako zespół magicznych przeżyć. Z czterech powodów.

Pierwszy z nich to nauczyciele pasjonaci i organizowane przez nich konkursy przedmiotowe. Po drugie harcerstwo. Po trzecie wspólnota absolwentów Kopra i wreszcie po czwarte, ogólna atmosfera, muzyka, granie na gitarach...

I po kolei. Zarówno ze strony kadry nauczycielskiej, jak i uczniów czuło się ogromną pasję do wychodzenia poza ramy programu nauczania. Cieszyłam się, że mogę spotykać się z olimpijczykami z chemii, fizyki czy matematyki lub z kilku tych przedmiotów naraz. Mój tata Zbigniew Chećko był na początku tablicy olimpijczyków z fizyki (matura 1977), a ja wówczas marzyłam, że chciałabym być na końcu tej tablicy.

Ale... realizowałam się w olimpiadach z fizyki, uczyłam się przez całe tygodnie przed kolejnymi etapami konkursów. Nauczyciele innych przedmiotów podchodzili do mojej pasji i moich wysiłków z wielkim zrozumieniem. Natomiast nasi opiekunowie bardzo o nas dbali. Pamiętam, jak z profesorem Andrzejem Sperką o czwartej nad ranem czekaliśmy na pociąg na dworcu Łódź Kaliska w drodze na kolejną olimpiadę - astronomiczną. Obserwowaliśmy symbolicznie wschód księżyca. To były wyjątkowe chwile, za które jestem szkole wdzięczna i nauczycielom, z którymi spotkaliśmy się jeszcze po maturze, tym bardziej, że z profesorem Sperką mieszkaliśmy niedaleko siebie.

Miło też wspominać naszą wychowawczynię, panią profesor Bogumiłę Materkę, profesor Ewę Wojciechowską od matematyki, profesora Marcina Chrabelskiego od geografii no i oczywiście jakże barwną postać, profesora Janusza Boissé.

Niesamowity gawędziarz. Swoimi opowiadaniem pokazywał nam jak cieszyć się życiem i czerpać z niego pełnymi garściami pomagając innym. Jak podziwiać naturę. Jak zmieniać świat myśląc globalnie a działając lokalnie.

To on opowiadał nam jak uczestniczył w powstaniu 1944. To on poruszył pokolenia licealistów ucząc miłości do ojczyzny, poszanowania autorytetów, pracy nad sobą. A przy tym po prostu - miło spędzając czas, na łonie przyrody, w gronie znajomych (co z nami robił przez przeszło 40 lat!).

Docierał do nas jak można najmocniej. Przez czyny, gawędę, przez muzykę, która wciąż nam w duszy gra. Przy ognisku, w magicznej Strużnicy w Rudawach Janowickich w Sudetach, którą współcześnie współodkrył, śpiewaliśmy z nim jego piosenki. O górach, wertepach i jeziorach i o tęsknocie do nich, o przyjaźni, o miłości, o opowieściach z przeszłości. Czekając na następne lato śpiewaliśmy je przy głowniach ze Strużnickich ognisk, siedząc już w naszej szkole na pieńkach stamtąd, Pamiętam bardzo dobrze jak powiedział, że kiedy jego już nie będzie, z ogniska w Strużnicy posypią się iskry, w górę, do nieba. To będzie znak że on jest z nami. Osobowość, która poruszała licealistów od lat sześćdziesiątych XX wieku do lat dziesiątych XXI. Skromny nauczyciel. Człowiek który zmienił coś w życiu tysięcy łodzian. Ja też chciałbym odejść wiedząc, że naprawdę - zmieniłam kawałek świata! Gdy spotkamy się przy ognisku w Strużnicy, przy innym ogniu, w inną noc, będziemy wypatrywać iskier. Dziękując mu za to wszystko co dla nas zrobił.

Harcerstwo, to była grupa przyjaciół, szczytne ideały, fantastyczny sposób spędzania czasu na żaglach, w górach, nad morzem, wyjazdy na obozy, dużo muzyki. Zrodziły się przyjaźnie, które pielęgnujemy cały czas. Mieliśmy piękne przeżycia, które kształtowały charakter, uczyły organizacji i wycucia społecznego. Na przykład, pomagaliśmy w domach opieki społecznej, organizowaliśmy festyny dla pensjonariuszy i świetnie się przy tym bawiliśmy. Zajmowaliśmy się też rozwojem samych siebie podczas żeglarskich rejsów. To wszystko z tradycją w tle, z poznawaniem historii i postaci, na których można się wzorować. Na przykład Leonid Teliga patron mojej drużyny wodniaków.

Harcerstwo uczyło też historii Polski, ale niekonwencjonalnie. Pamiętam opowieści koleżanki Izy o wypadku harcerek na jeziorze Gardno i o tym jak jedna z mam osiwiła w ciągu nocy usłyszawszy o tragedii. (18 lipca 1948 roku na jeziorze Gardno utonęło dwadzieścia pięć osób, w tym dwadzieścia dwie

łódzkie harcerki. Dziewczyny należały do 15 Łódzkiej Drużyny Harcerskiej). Słuchaliśmy tego z powagą i skupieniem nad losem tych dziewcząt, których groby są na Starym cmentarzu w Łodzi. Czuliśmy wówczas pewną bliskość z nimi.

Inna symboliczne wydarzenie to wypadek jachtu „Bieszczady” na Morzu Północnym (10 września 2000 r., na Morzu Północnym u wybrzeży Danii, na skutek zderzenia z gazowcem LADY ELENA zginęło i utonęło siedmiu członków załogi wraz z jachtem. Jedna osoba została uratowana. Była to druga największa tragedia w dziejach polskiego żeglarstwa). Tam też byli nasi harcerze, o czym przypomniał mi Blady, kiedy odbierałam od niego zobowiązanie instruktorskie, w przeddzień mojej wyprawy na Morze Północne. Pozostała tylko pieśń szantowa „Requiem dla Nieznajomych Przyjaciół z »Bieszczadów«”. I przejmujące opowieści Wiktora Wróblewskiego, też z naszego liceum, płynącego równoległym rejssem Zjawą IV.

Te opowieści, te przeżycia, zacieśniały nasze kontakty.

Moją najbliższą przyjaciółką jest nadal Ania Fabiś, obecnie Fabiś-Strobin, z którą siedziałam w jednej ławce. A wspólnota harcerska spotyka się w Strużnicy, w lecie. Ciągle w tym samym miejscu śpiewamy jak dawniej przy ognisku. Wstąpiłam do kręgu instruktorów i starszyny przy naszym szczepie z nadzieją, że będę mogła bardziej aktywnie podzielać, ale póki co dominują priorytety młodej mamy rocznego synka. Spotykamy się też naszą klasą. Tak było na dziesięciolecie matury. Mam nadzieję, że spotkamy się również z okazji piętnastolecia. A tak, na co dzień spotykamy się za pośrednictwem Facebooka gdzie koleżanki i koledzy czasem szukają pomocy, a czasem dzielą się swoim radościami. Organizujemy razem różne przedsięwzięcia, na przykład mural Bladego przy szkole. Nasza społeczność żyje.

Mojemu dziecku śpiewam na dobranoc harcerskie piosenki. Synek usypia przy „Ostródzie”, przy „Pożegnaniu gór”.

Kiedy Blady trafił do szpitala, zaraz wszyscy o tym wiedzieliśmy i go odwiedzaliśmy. Rysiek Kowski zwołuje nas do Strużnicy, a szkoła przyciąga pasjonatów różnych dziedzin. Tu trafiają ludzie, którzy chcą czegoś bardziej... chcą przesunąć granice poznania. Bo „Kopernik” to przede wszystkim społeczność.



Post scriptum od spisującego powyższe słowa.

Olu, sądzę, że po rozmowie z Tobą aż się prosi, żeby przypomnieć słowa „Moich gór”

PPS ☺ piosenka piękna, ja też polecam „Pożegnanie gór” (Słońca dysk zaginął gdzieś w konarach...)

*Moje góry (słowa i muzyka: Janusz Boissé)*

*Tyle godzin przesiedziałem przy ognisku,  
Tyle myśli uleciało w złe godziny,  
Moje góry, moje góry, moje wszystko,  
Moje własne, niepotrzebne ludziom rymy. / bis*

*Pozostaną za potokiem jak wspomnienie,  
Jak szum wiatru, jak kolory tuż przed zmrokiem.  
Moje góry, tak odległe jak marzenie.  
I tak bliskie, że ich nie ogarniesz wzrokiem. / bis*

*Tyle myśli na wieczornej drzy pościeli...  
Skalna drogo, pod nogami w górę strzelaj.  
Ja górami już się nie chcę z nikim dzielić  
Chyba, że znów spotkam przyjaciela. / bis*

*Posiedzimy tu na grani blisko Boga  
Popatrzymy na doliny w mgle przedświt,  
I zejdziemy, każdy pójdzie swoją drogą.  
Moje góry, jak daleko znów do szczytów. / bis*



## Przemysław Dudek, nauczyciel – matura 2009



Ja po środku, naturalnie, po lewej moja wspaniała, utalentowana i wszechstronna koleżanka Adrianna Bielak, również absolwentka, po prawej Filip Józwiakowski, kolega z zespołu (ale nie absolwent).

Przemysław Dudek: Z Jedyneką wiążą się moje najlepsze wspomnienia w życiu. Pewnie, dlatego wróciłem do naszej szkoły i w niej pracuję. Zresztą, szkołę odwiedzałem regularnie przy różnych okazjach. Można, wręcz powiedzieć, że się z nią nie rozstawałem. Podczas jednej z wizyt dowiedziałem się, że poszukuję się nauczyciela fizyki i... zostałem.

Od początku czułem domową, rodzinną atmosferę, którą znałem jeszcze, jako uczeń, bo w naszej szkole jest specyficzny mikroklimat stworzony, pewnie przez ponad stuletnią tradycję. Ducha tradycji i mocne związki kolejnych pokoleń czuje się na każdym kroku.

Moja klasa była trudna, cechowała się może nienajlepszą frekwencją, ale przynieśliśmy szkole wiele laurów. Mówiąc pół żartem, pół serio niektórzy z nas bywają w szkole częściej, jako absolwenci gnani tęsknotą, niż jako uczniowie. Przecież jesteśmy jedną, wielką rodziną.

Mamy wielu absolwentów związanych z fizyką w taki czy inny sposób. Dla przykładu, jeden z moich kolegów z klasy ukończył Uniwersytet Jagielloński i

studiował w PAN, a obecnie pracuje w Niemczech, w Instytucie Maxa Plancka dla fizyki pozaziemskiej.

Najbliższy zjazd absolwentów jest organizowany pod hasłem: „Koper – jesteśmy wszędzie” i rzeczywiście odnaleźć można wychowanków we wszystkich zawodach, lekarze, inżynierowie, dziennikarze, biznesmeni, aktorzy/aktorki, ale również fizycy.

A jako nauczyciel...? Stosuję metody, które wyniosłem z własnej nauki w Koprze. Staram się być „piłą” dla tych, którzy są zainteresowani fizyką i chcą zdawać maturę z tego przedmiotu, olimpijczyków, a w stosunku do pozostałych stosuję metodę ustaloną w Jedynce. W klasie maturalnej daję im dużo spokoju i nie zmuszam do fizyki.

Osobiście, z fizyką byłem związany od początku nauki w Koprze, ale... w liceum ożyła też moja druga pasja: kabaret, aktorstwo, piosenki, czyli mówiąc po mojemu: pajacowanie na scenie. Zorganizowałem kilka wydarzeń artystycznych z różnych, szkolnych okazji. Doszło nawet do tego, że zdawałem do szkoły teatralnej. Przeszedłem w łódzkiej filmówce przez wszystkie trzy etapy egzaminów i dotarłem do fazy finałowej, ale... po trzech tygodniach zmagania czułem się tak wyczerpany psychicznie i fizycznie, że zwątpiłem w tę drogę kariery i zawróciłem w stronę fizyki. W efekcie skończyłem studia na dwóch Politechnikach Łódzkiej i Warszawskiej.

Nie oznacza to, jednak, że kompletnie zarzuciłem moje kabaretowe pasje. Występowałem w kabarecie „Pufa” założonym, zresztą przez absolwentów I LO, Wojtka Szymańskiego i Bartka Fijałkowskiego, ale po pewnym czasie zakończył swój żywot. A obecnie... piszę teksty piosenek i niedługo, mam nadzieję, nagranie ujrzy światło dzienne.

## Magdalena Łuczak, mistrzyni Polski w slalomie gigancie – matura 2020



Madzia Łuczak: Lata spędzone w I LO wspominam bardzo dobrze, choć niezbyt często bywałam w szkole. W związku z intensywnymi treningami i zawodami w narciarstwie alpejskim miałam indywidualny tok studiów. Wszyscy mi bardzo pomagali, a szczególnie pani profesor Małgorzata Kowalska nasza nauczycielka matematyki, która opiekowała się mną przed maturą. Pozostali wykładowcy również. Wysyłali mi stosowne materiały, żebym mogła opanować dany przedmiot. Mogłam też liczyć na pomoc kolegów i koleżanek. Nikt nie narzekał, że jestem fizycznie nieobecna w szkole. Byli bardzo przyjaźnie nastawieni i nadal mam z nimi kontakt. Kopernik ma to do siebie, że się nie gubimy po maturze, po latach.

Kiedy razem z rok starszą siostrą Marysią wybierałyśmy się do Jedyńki, mama rozmawiała z panią dyrektorką Ewą Wojciechowską o naszym zaangażowaniu

sportowym, a pani dyrektor orzekła, że nie ma problemu, że zapewnią niezbędną pomoc. Przyjęto nas bardzo miło i bardzo fajnie.

Mimo, że nie byłam bardzo częstym gościem w szkole, to starałam się brać czynny udział w różnych projektach.

Moim wychowawcą był pan profesor Sławomir Telega. Ponieważ zdawałam rozszerzoną maturę z angielskiego i matematyki, to najwięcej czasu spędziłam z panią profesorem Ireną Kowalską i panią profesorem Iwoną Strobini-Pokrzewińską, natomiast pani profesor Bożena Anuszczyk przygotowywała mnie z polskiego, ale wszystkich wspominam bardzo dobrze. Oni także mają swój udział w moich sukcesach.

Krzysztof Turowski: Dzięki temu rośniesz na gwiazdę polskiego i europejskiego narciarstwa alpejskiego.

MŁ: 29 stycznia 2021 roku na Mistrzostwach Polski w Szczawnicy wywalczyłam złoty medal w slalomie gigancie seniorów. To był trzeci w karierze złoty medal mistrzostw kraju w narciarstwie alpejskim. Popisem był zwłaszcza drugi przejazd. To był, fajny, rytmiczny gigant, który był przyjemnością dla wszystkich. Poza tym mam jeszcze jeden medal brązowy i srebrny.

Pod koniec grudnia ubiegłego roku zajęłam siódme miejsce w slalomie gigancie w Pucharze Europy w Andalo. Nie ukrywam, że nie spodziewałam się takiego wyniku, choć czułam się bardzo dobrze. Biorąc pod uwagę jednak numer, z jakim startowałam (59), to trudno było liczyć na tak udany występ.

*„Łuczak nie napala się. Wie, że jeszcze wiele musi się nauczyć w Pucharze Europy, by myśleć o dobrych występach w Pucharze Świata. Dlatego w tym sezonie będzie się skupiała głównie na występach w zawodach niższej rangi. Tam chce nabrać pewności, by potem zaatakować najlepsze zawodniczki na świecie.” – napisano o niej w Onet.PL*

Dwa razy już byłam w pierwszej dziesiątce w Pucharze Europy. Jestem notowana w pierwszej piętnastce i praktycznie na każdych zawodach punkuję. Pod koniec lutego wystartuję w Mistrzostwach Świata w Cortina d'Ampezzo (zajęła 19 miejsce), a na początku marca na mistrzostwach świata juniorów, które odbędą się w bułgarskim Bansku. Tam pojedę w slalomie i w gigancie.



Chcę powtórzyć takie wyniki, jak w slalomie gigancie, także w slalomie. I dopiero wtedy będę myślała o występach w Pucharze Świata. Nabrałam już trochę pewności. Wiem też, że kiedy warunki są równe, to niewiele ustępuję tym najlepszym.

KT: Kiedy i dlaczego zrodziła się u ciebie narciarska pasja, zwłaszcza w narciarstwie alpejskim, w którym Polacy nie święcą triumfów?

MŁ: Rodzice lubili i lubią jeździć na nartach i jak jeszcze byłyśmy małe zabierali nas na narty i tak to się rozwinęło. Moja siostra Marysia (również absolwentka Kopra) też jeździła sportowo, ale ona porzuciła sport i obecnie studiuje medycynę.

KT: Jesteś zawodniczką UKS MitanSki Zakopane?

MŁ: W tym klubie zaczynałam przygodę z narciarstwem alpejskim. Miałam wtedy chyba 5-6 lat. Nawet dobrze nie pamiętam, a potem wyjechałam z rodziną do Włoch. Tam trenowałam kilka lat. Wyjeżdżałam do Włoch na cały sezon zimowy. Do szkoły chodziłam jednak w Łodzi, nadrabiając zaległości po powrocie do kraju. Nie wyobrażam sobie tego, na jakim poziomie jeździłabym teraz, gdybym wtedy nie wyjechała do Włoch. Na pewno to był dobry wybór. Miałam znakomite warunki do tego, by się rozwijać. Skupiałam się tylko na narciarstwie.

KT: A poza narciarstwem?

MŁ: Uczę się chemii, żeby zdać jeszcze rozszerzoną maturę z tego przedmiotu, a co potem... jeszcze nie wiem. Na razie narciarstwo.

Życzymy połamania nart!!!

**Marcin Chrabelski – dyrektor I LO od września 2021**

**Przesłanie do przyszłych absolwentów**



Drodzy przyszli absolwenci,

Jeszcze pewnie nie zdajecie sobie w pełni sprawy z tego co Was czeka po opuszczeniu murów naszej szkoły. Zapewniam Was jednak, że nawet w trudnych chwilach nigdy nie będziecie sami. Gdziekolwiek przyjdzie Wam żyć, zawsze spotkacie w pobliżu absolwenta naszej szkoły. Jest nas tylu, że w każdej

chwili, w każdym trudnym momencie znajdziecie kogoś z Jedynki, kto Wam pomoże. Nie kończyłem Kopra, ale pracuję tu już dwadzieścia lat i wiele razy poczułem niespodziewanie pomocną dłoń.

Zatem przewiduje, że i Was to spotka. Są nas tysiące. Gdyby wszystkich zgromadzić utworzylibyśmy spore miasteczko – Kopernikowo.

Życzę Wam również, żebyście i Wy byli otwarci dla innych kopernikowców potrzebujących pomocy. Pomagajcie sobie, bo w tym jest wielka siła. I... wpadajcie czasem do szkoły.



## **Bal**

*roztańczyło się  
wino na szkle  
ciągle mocne  
choć wszyscy osłabli  
korowód postaci  
sfastrygowanych  
na odległość chwili  
wirował  
niekłamaną wesołością  
przy wyjściu czekało  
rozległe zacisze  
rzeczywistości*

**Magdalena Matraszek-Domańska – matura 1968**